№ 22 Warszawa, dnia 16 (28 Maja) roku 1881.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

Rzecz o prawdę.

Pod tym tytułem pan Wacław Szymanowski, redaktor „Kuryera Warszawskiego”, z podpisem jako członek komitetu międzynarodzowego stowarzyszenia litereckiego, wystąpił w N-rze 104 pisma swego z artykułem dowodzącym, że płacenie autorów zagranicznych za prawo tłomaczenia ich utworów, nietylko jest sprawiedliwem ale przyczyni się wielce do podniesienia własnej naszej literatury. Już z samego tego założenia przekonać się łatwo, że p. W. Szymanowski podjął się zadania bardzo trudnego. Przy tak wielkim upływie pieniędzy naszych za granicę w wartości niezmiernie obniżonej, nowe źródło ich wydatku nowym stanie się ciężarem przez kraj cały ponoszonym, tem mniej pożądanym, że wzamian żadnej nowej nie przynoszącym korzyści. Gdyby tu szło tylko o osobiste przekonania, kwestyi tej wcalebym nie podnosił, ale że pan W. Szymanowski wystąpił pod pięknem godłem sprawiedliwości i pożytku naszej literatury: że prawdopodobnie prędzej lub później rzecz ta przedstawioną zostanie jako kwestya międzynarodowych stosunków z powołaniem się być może na głos p. W. Szymanowskiego, do odpowiedzi czuję się niejako zobowiązanym.

Odwołanie się do sprawiedliwości pozornie zdaje się dość uzasadnionem, boć cudza własność powinna być szanowaną, ale ocenienie tu własności tak jest zawiłe i subtelne, że ustanowienie pewnej w tym razie zasady jest prawie niepodobieństwem. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że w wielu razach, szczególniej w utworach większej wartości literackiej, tłomacz co do talentu równać się musi autorowi i ta solidarność do pewnego stopnia z pewnemi także modyfikacyami, rozciąga się nawet i do lekkiej literatury. Tłomacz więc wprowadza autora w arenę większego rozgłosu, zaznajamia go z krociami tych do których przystęp dla niego zamknięty, tworzy z nim całość nierozdzielną równej często zasługi, i stając się przez to niejako reklamą dla jego talentu, przysparza mu sławy i wziętości we własnej ojczyznie a więc i korzyści materyalnej. Nagroda ta aż nadto dostateczna dla wymagań autorów zagranicznych, a jeżeli jeszcze zważymy, że każdy z nich występując w imieniu dobra ogólnego, powinien pragnąć przelewać własne myśli i pojęcia w jak największą liczbę czytelników bez względu na ich narodowość; że tłomaczenie ułatwia to, że apostolstwo takie pracowników pióra jest powszechnie uznanem, to łatwo się zgodzić, iż pojmujący jego godność, powinniby właściwie starać się o tłomaczy jak żądać od nich zapłaty.

W międzynarodowych stosunkach, społeczności nie z samych tłomaczeń utworów literackich ciągną wzajemne korzyści, ale z myśli, pracy i ulepszeń w różnych gałęziach swego rozwoju zaprowadzonych, nikomu jednak nie przychodzi nawet do głowy aby korzystanie z nich podciągać pod opłaty. Społeczności biorą je jedne od drugich, stosując według miejscowych warunków, tłomaczą niejako na język swych potrzeb i wymagań, i nikt tego za złe nie ma, nikt nie podciąga pod prawa własności choć tej zaprzeczyć niepodobna.

Prawda, że ze swobody co do tłomaczeń dotąd praktykowanej, większe my, jak Niemcy, Francuzi i Anglicy, ciągniemy korzyści, ale tego szczęściem nazwać nie można. W pracy rozwoju duchowego w Europie, gdy zachód kształcił się naukowo i urządzał społecznie, my na wschodnich kresach broniliśmy go od napadów barbarzyństwa, aby wolny od przeszkód, mógł się oddać ze swobodą czynności przypadłej mu w udziale. Praca ta trwała wieki, dla zachodu była ciężką ale i dla nas niemniej uciążliwą. On pracował myślą, myśmy krew przelewali: on wieńczył czoła pracowników laurem chwały, my cierniem męczeństwa; on radował się zdobyczą coraz większej swobody, my okrywaliśmy się żałobą po wielkich i ukochanych. Ofiary były tu konieczne, myśmy ich szczodrze dostarczali; zachód też wyrósł w olbrzyma i pobrzdękując złotem z pychą a nawet ze wzgardą, niepomny zasług spojrzał na ten kres wschodni, krwią przesiąknięty, i powiedział: płać za wszystko, płać za ten promień wiedzy który chcesz schwycić na swój użytek, płać za chęć nauki, płać nawet za umiejętność naszej mowy, przy pomocy której chcesz przyswoić sobie nasze światło. Nie przynosi to wprawdzie żadnej nam szkody, nawet choćby najmniejszego uszczerbku, przeciwnie, przysparza nawet sławy, ale kiedyś zmuszony brać od nas, to płać za to co bierzesz, wyciągaj ostatni grosz, od ust sobie odejmuj a płać bez względu na wszystko, płać właśnie za to, że nie jesteś tem czem my jesteśmy. Czy domagania podobne są sprawiedliwe, czy nie wykazują chciwości grosza do ostateczności posuniętej, każdy łatwo osądzi.

Pan W. Szymanowski dowodząc zbawiennego wpływu obowiązującej opłaty za tłomaczenia na rozwój ojczystej literatury, powiada, że zniewoliłoby to nieudolnych tłomaczy do poświęcenia się innej pracy, usunęłoby z wydawnictwa nędzne przekłady nędzniejszych jeszcze często utworów literatury zagranicznej: tłomacz ustanowiony wyborem autora dawałby gwarancyą dobrego przekładu, liche tłomaczenia przestałyby wypierać oryginalne utwory z literatury peryodycznej i handlu księgarskiego, praca miejscowych literatów stawałaby się owocniejszą i poszukiwańszą, wybór dzieł do tłomaczenia byłby przyzwoitszy i sumienniejszy, a głównie zyskałaby scena nasza, jako zmuszona lepiej opłacać pisarzy naszych dramatycznych i chętniej przyjmować utwory ich do tłomaczenia.

Korzyści te spodziewane, bardzo ponętnie przedstawione, ale brak im również prawdy o którą tu głównie idzie.

Powołanie lichych tłomaczy do pracy i wybór nędznych utworów zagranicznych do przekładów, nie wynika z braku opłaty autorom, ale z winy wydawców. Nikt nie zaprzeczy, że każdy z nich, powodowany własnym interesem, radby wydawnictwo swe pod każdym względem zrobić jak najlepszem, gdy nie spełnia tego mając wybór niczem nieskrępowany, dowodzi jasno, że nie stoi na właściwem sobie stanowisku: ustanowienie opłaty nie zaradzi temu, ale przeciwnie zwróci wydawców do jeszcze gorszych dzieł zagranicznych, do autorów mniej wymagających lub nawet cieszących się jedynie zaszczytem dla nich zupełnie niespodziewanym. Tłomaczenia przez osoby uprzywilejowane wyborem komitetu międzynarodowego, zyskałyby na tem, ale wszelkie przywileje z monopolem bardzo zbratane, w innym znów kierunku oddziałałyby bardzo szkodliwie. Podniosłyby cenę pracy tłomaczy, zwiększyłyby bardzo koszt wydawnictwa, książkę zrobiłyby droższą i utrudniłyby niezmiernie patentowanie nowych pracowników, niechętnie widzianych przez dawniej ustanowionych. Nie zapominajmy bowiem, że w ludzkiej naturze wyzyskiwanie posiadanych atrybucyi na korzyść bliższych nam stosunkami krewieństwa, przyjaźni lub znajomości, jest słabością z małym nader wyjątkiem, wszystkich dotykającą.

Gdyby nawet sam p. W. Szymanowski stanowił ów komitet, jestem najzupełniej przekonany, że uległby jej, może mimowoli, ale uległby z pewnością. Czy to przyniosłoby korzyść naszemu piśmiennictwu, wątpić można napewno.

Zarzut także, wypierania przez liche tłomaczenia oryginalnych utworów z literatury peryodycznej i handlu księgarskiego, niczem nieuzasadniony. Prawdziwie zdolni nasi pisarze, nietylko są przez redaktorów i wydawców pożądani ale niemal rozrywani, tak że się o pracę u nich doprosić trudno. Liczba ich niewielka zmusza do zasilania się przekładami, wprawdzie chętnych do wejścia w szranki pracowników pióra jak wszędzie tak i u nas jest zawsze dosyć, ale chęć nie jest jeszcze dowodem talentu. Co mierne przy największem poparciu miernem pozostanie, bo ułatwiona publikacya, praca choćby najgorliwsza a nawet nauka, talentu nie tworzą, tylko go wyrabiają, aby jak dyament przez szlifowanie stał się brylantem. W braku też dostatecznej liczby prawdziwie zdolnych pisarzy, usuwając słabe oryginalne prace a oddając pierwszeństwo dobrym przekładom, redaktorowie i wydawcy każdy nowo zjawiający się talent witają z upragnieniem i pochwałami, często nawet do szkodliwej przesady posuniętemi, ciesząc się, że przybył nowy pracownik trudność ich zadania ułatwiający. Gdzież tu więc jest wypieranie oryginalnych utworów przez liche przekłady obcych pisarzy?

Ale, głównie, powiada pan Szymanowski, zyskałaby scena nasza na ustanowionej opłacie obcym autorom. Gdybyż to stać się mogło! ale przyczyny które wstrzymują rozwój naszej literatury dramatycznej, pozostałyby jedne i te same, tylko koszt przyswajania obcych utworów stałby się większy. Wybór sztuk przeznaczonych do przekładu nie polepszyłby się, bo tych co go dotąd spełniają, projektowana opłata nie odsunęłaby od sprawowanego obowiązku. Komedyi i dramatów dobrych i godnych przekładu niebrak tak w Niemczech, Anglii, jak i we Francyi: niektóre z nich były drukowane w naszych pismach peryodycznych, dla czegóż nie weszły na deski sceniczne gdy tyle ramot wcisnęło się na nie niczem do tego nieupoważnionych? Co do lepszego opłacania autorów oryginalnych za prace ich dramatyczne, to projektowana opłata tego nie spełni, tylko zwiększona konkurencya pomiędzy przedsiębiercami teatralnemi. Gdy tych będzie przybywać i wysokość honoraryum autorskiego zwiększać się będzie w stosunku rzeczywistej wartości utworów.

Czy wywody te w imieniu także sprawiedliwości i dobra naszej literatury zrobione, mają słuszność za sobą, sąd nie do mnie należy.

Przedstawiając je z całą szczerością przekonania niezamąconego żadnemi osobistemi względami, wierzę w to najzupełniej, że ustanowienie opłaty za pozwolenie przekładów na nasz język byłoby zarówno szkodliwe jak niesprawiedliwe, a utworzenie komitetu do naznaczania tłomaczy zgubnem i nie do zniesienia. Obietnica zaś w zbytniej szczodrobliwości objawiona przez zagranicznych autorów, iż uwzględniając różne powody, prawo tłomaczenia udzielane nam będzie pod bardzo lekkiemi warunkami, jest tylko pustą obietnicą, wartość której znana wszystkim aż nadto dobrze z własnego doświadczenia.

Jeżeli mają być tak lekkiemi, pocóż żądać opłaty? Dowód to raczej, że czując całą niesprawiedliwość domagania się jej, pragną przykrość jego umniejszyć, ułagodzić, podszyć pod płaszczyk deklamacyjnych frazesów o sprawiedliwości i dobru literatury, aby uśpiwszy czujność naszą wyzysk nas doprowadzić do ostateczności.

J. K. Gregorowicz.

INNA.

Ukazała się śród ludzi
Taka jasna taka inna,
Do koła nich podziw budzi,
Niby grzeszna, a niewinna.

Niby szatan, co zakłuca
Spokój duszy przez wejrzenie,
Niby anioł co rozrzuca
Miłość, prawdę, ukojenie...

Niby gwiazda, co oświeca
Podróżnego błędną drogę,
Niby burza, co roznieca
Grom, pioruny, pożar, trwogę.

Sama w sobie tchnie prostotą,
Taka cicha, skromna, święta,
Jej przymioty zwą się cnotą,
A jej dusza niepojęta.

Przez nią daje skarby świata,
Do nieba drogę otwiera,
Kto tylko się z nią pobrata,
Chwilę żyje, znów umiera.

Ukazała się śród ludzi
Taka jasna taka inna,
Do koła nich podziw budzi,
Niby grzeszna a niewinna.,

W. R.

Huta Gzdowska.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

przez

ALEKSANDRA DUMASA.

przekład

J. B.

(Dalszy ciąg).

IX.

Gwelfowie.

Teraz musimy poświęcić kilka kartek wielkiemu tak popularnemu rodowi Gwelfów, który tak długo walczył przeciw cesarzom, to jest przeciw zasadzie samowładztwa, i wśród walk nieustannych zajmował tak wielkie stanowisko w świecie i tak rozgłośnie słynął w Niemczech i we Włoszech.

Jak wiadomo, Gwelfowie pochodzą od Henryka Lwa, księcia niższej Saksonii, jednego z najznakomitszych książąt XII stulecia. Był on synem Ludwika Pysznego, księcia niższej Saksonii, z której wytworzył się później Olderburg, Hanower, Brunswick, Meklemburg i część Slezwig Holsteinu. Matka jego była córką Lotaryusza, cesarza niemieckiego.

Przez krótki czas posiadłości tego księcia rozciągały się od Zugdersee i morza Północnego do Adryatyku, od Oldenburga do Wenecyi, a wazale dziedzicznych posiadłości Gwelfów we Włoszech musieli składać mu przysięgę lenności. Herb jego był złoty lew w błękitnem polu z dewizą: *Nec aspera terrent*, co oznaczało: trudności nie przerażają mnie wcale.

Nadany mu przydomek Lwa ztąd powstał, iż miał lwa oswojonego który ani na krok go nie odstępował, chodził za nim krok w krok i był mu posłuszny jak pies. Lew ten wykuty z marmuru wznosi się po dziśdzień na postumencie na placu targowym w Brunswicku.

Rozwiodłszy się z pierwszą żoną, zaślubił Matyldę, córkę Henryka II, króla angielskiego, a siostrę Ryszarda Lwie Serce. Ztąd wynikło, że gdy królowa Anna zmarła bezpotomnie, Anglicy wyłączając od tronu Jakóba III, zwrócili oczy na dom Hanowerski i oddali koronę Jerzemu Ludwikowi, który przez Matyldę pochodził od Plantagenetów. Wstąpił na tron angielski pod imieniem Jerzego I.

Postanowieniem kongresu wiedeńskiego, elektorstwo hanowerskie otrzymało tytuł królestwa i aż do roku 1837 Hanower, nie będąc wcielonym do Anglii, rządzony był przez królów angielskich. Po śmierci Wilhelma IV (1837 r.) na tron Anglii wstąpiła księżniczka Wiktorya, ponieważ ojciec jej, książę Kent, starszym był od Ernesta-Augusta, księcia Kumberland. Według obowiązujących praw, na tronie hanowerskim nie mogła zasiadać kobieta; został więc królem Ernest August, książę Kunberland, piąty syn Jerzego III, a młodszy brat Wilhelma IV. Po nim nastąpił syn jego Jerzy V, w roku 1851.

Osobliwszą jest ta okoliczność, że lud hanowerski ani swym księciom, ani później elektorom, ani nakoniec królom nie płacił żadnej listy cywilnej. Majątek i dobra ziemskie, posiadane przez hanowerski książęcy ród Gwelfów, była to ich własność rodowa, dziedziczna. Pierwsi książęta Brunswicku i Lüneburga, zostali mianowani książętami z powodu że posiadali najrozleglejsze posiadłości w niższej Saksonii. Ci książęta, utrzymujący się z własnego majątku, pozostawili przecież Jerzemu

V-mu najbogatsze i najwspanialsze może na świecie srebra i zastawy. Pierwszy ich zbiór sięga czasów Henryka-Lwa; zwiększał on się z wieku na wiek, wzbogacając coraz nowemi dziełami sztuki przez lat sześćset kilkadziesiąt, aż utworzył jedyny w swoim rodzaju zabytek. Samem swojem srebrem stołowem król Jerzy V mógł zastawić stoły na ośmset osób.

Tak skarb, jak srebra i klejnoty koronne była to prywatna własność króla hanowerskiego. Szczegóły te nie są zbyteczne z powodu wydarzeń późniejszych mających przesunąć się przed oczami czytelników.

X.

Wyzwanie.

Sprawdziły się przewidywania Benedykta. Nazajutrz, jak tylko się przebudził, Lenhart, który pełnił obowiazki kamerdynera, podał mu na srebrnym półmisku, użyczonym przez Stephen'a, trzy bilety wizytowe; czyli raczej dwa bilety i jeden zmięty świstek papieru Oto nazwiska wydrukowane na dwóch biletach: major Frederyk von Below, i Jerzy Kleist, redaktor „Gazety Krzyżowej". Na świstku papieru napisane było ołówkiem: Franc Müller, czeladnik stolarski.

Tak więc Benedykt miał tak zupełne jak tylko mógł zapragnąć, próbki społeczeństwa pruskiego: oficera, dziennikarza, rzemieślnika. Wyskoczył czprędzej z łóżka, kazał zapytać, i dowiedział się, że wszyscy trzej stanęli w tymże co i on hotelu, i zaraz wyprawił Lenhart'a do pułkownika Anderson z prośbą, aby przybył natychmiast.

Pojmując o co chodzi, pułkownik nadszedł niebawem. Benedykt oddał mu bilety i świstek papieru w tym porządku jak je odebrał, prosząc, aby stosując się do tego, udał się najpierw do majora von Below, następnie do dziennikarza Jerzego Kleist, a w końcu do Franca Müller. Prosił także aby pułkownik zgodził się na wszelkie podane warunki, co do broni, czasu i miejsca.

Ułatwiało to bardzo zadanie pułkownika; powrócił w pół godziny później.

Major von Below wybrał szpady; lecz że wysłany był w pilnej missyi do Frankfurtu i tylko zboczył z drogi, aby się stawić na wezwanie pana Benedykta Turpin, prosił aby oznaczyć jak najwcześniejszą godzinę pojedynku.

— Ale, natychmiast, odrzekł śmiejąc się Benedykt; nie mogę przecież odmawiać tej grzeczności człowiekowi, który dla mnie naddał sobie tyle drogi.

— Nic nie nagli, chodzi mu tylko o to, aby mógł odjechać dziś wieczorem.

— Ależ o którejkolwiek godzinie odbędzie się pojedynek, nie zaręczam bynajmniej, że ztąd odjedzie.

— Wielka byłaby to szkoda; zdaje mi się, że pan Below jest szlachcicem w całem słowa tego znaczeniu. Podobno trzech oficerów pruskich osłoniło pana od rozburzonego pospólstwa z wankiem, że zawołasz: „Niech żyje Wilhelm I-szy! niech żyją Prussy!"

— Daruj pułkownku, nie przyjmowałem wcale tego warunku.

— Tak, ale oni przyjęli go za pana.

— A więc ktoż im bronił? mogli sobie krzyczeć do nieskończoności: Niech żyje Wilhelm I! niech żyją Prussy!

— Nie chodziło o nich ale o pana...

— Ja za to wypowiedziałem im jeden z najładniejszych wierszy Alfreda de Musset; cóż mogą mieć przeciw temu?

— To, że zadrwiłeś pan z nich sobie.

— O! tego bynajmniej nie zaprzeczam.

— To też przeczytawszy otwarty list pana w Gazecie, postanowili zgodnie, że jeden wyzwie cię, a dwaj inni służyć mu będą za sekundantów. Włożyli w kask kartki ze swemi nazwiskami, zdając na los kto ma się pojedynkować — wyciągnięto nazwisko p. von Below. W parę chwil potem został on wezwany do ministeryum wojny, aby mu oddać rozkaz do wojsk pruskich, stojących garnizonem pod Frankfurtem. A że było to polecenie nie cierpiące zwłoki, więc obaj jego przyjaciele chcieli go zastąpić w pojedynku — nie zgodził się jednak na to, mówiąc że ponieważ będą jego sekundantami, więc w razie gdyby został niebezpiecznie ranny, jeden z nich doręczy komendantowi depeszę, która tym sposobem prawie się nie opóźni. Umówiłem się więc ze świadkami pana von Below że pojedynek odbędzie się dziś o godzinie pierwszej.

— Doskonale. A cóż dwaj inni?

— Pan Jerzy Kleist jest sobie ani źle, ani dobrze, jak większość publicystów niemieckich. Wybrał pistolety, a że ma bardzo zły wzrok, więc prosił o wyznaczenie bliskiej bardzo mety. Zdaje mi się, że widzi doskonale — jednakże nosi okulary. Oznaczyłem tedy odległość 45 kroków...

— Co! o 45 kroków, ależ to jakby odległość strzelania do tarczy!... to zadaleko.

— Pozwól pan... Dalej oznajmiłem, że każdemu z was wolno będzie postąpić piętnaście kroków, co zmniejsza odległość o 30 kroków. Następnie wywiązał się spór gdyż świadkowie jego utrzymywali, że Kleist, jako wyzwany, ma prawo strzelać pierwszy.

— Spodziewam się, że zezwoliłeś pan na to?

— Bynajmniej; twierdziłem że przynajmniej powinniście strzelać razem na dany znak. A że zbyt to ważna kwestya abym miał ją brać na swoją odpowiedzialność, więc chciej sam ją rozstrzygnąć.

— I owszem, niech strzela pierwszy, skoro się tak o to dopominają. Więc zaczynamy o pierwszej?

— Zgodnie z życzeniem pana. O pierwszej z panem von Below, na szpady; o drugiej z panem Jerzym Kleist, na pistolety; o wpół do trzeciej z Francem Müller'em... Tu pułkownik zawahał się chwilę.

— Więc cóż? zapytał Benedykt?

— Temu możesz odmówić... co innego gdyby to było w Anglii, ale tu...

— Cóż takiego?

— Chce się bić na pięści. Mówi, że jest rzemieślnikiem, że nie umie obchodzić się z żadną inną bronią jak tylko z tą jaką mu dała natura do napastowania i obrony, a z resztą że i pan nie pogardziłeś tą bronią, skoro jednym rzutem rzuciłeś go na ziemię o jakie dziesięć kroków.

— A! prawda! prawda! przypominam sobie, odrzekł śmiejąc się Benedykt; nizki, krępy, blondyn.

— Tak.

— Służę mu zarówno jak innym. Ja zarządzę śniadanie, a tymczasem, kochany pułkowniku, chciej powiedzieć panu Kleist, że będzie strzelał pierwszy, a panu Müller'owi że będziem się pojedynkować bronią jaką nam dała natura, to jest na pięści. Co do innych, będziem się bić szpadami i pistoletami moich przeciwników, po co się kłopotać o inne.

— Dobrze, odrzekł pułkownik i odszedł.

Była jedenasta rano. Benedykt kazał przywołać Stephen'a i zadysponować obiad. Pułkownik powrócił w jakie dziesięć minut, oznajmiając że wszystko załatwione.

— A więc siadajmy do stołu! zawołał Benedykt.

Gdy wybiła dwunasta, rzekł: Może już czas, żebyśmy się nie spóźnili.

— Nie, dość jeszcze czasu, rzekł pułkownik. Eilenride leży zaledwie o ćwierć milki od miasta; piękne to miejsce. Czy położenie jego bardzo oddziaływa na pana?

— Wolę bić się na murawie niż na nagiej ziemi.

— Eilenriede to lasek Bulońki Hanoweru; w samym środku jest śliczna polanka otoczona drzewami; tuż obok płynie przeczysty strumień.

— Jak widzę dobrze znasz tę miejscowość.

— Tak; dwa razy sam się tam pojedynkowałem, a coś cztery razy byłem sekundantem innych tam się pojedynkujących.

Wtem wszedł Lenhart, mówiąc: Powóz czeka.

— Czy masz pan drugiego sekundanta? zapytał pułkownik.

— Po co? tych panów jest pięciu, jeden może być moim sekundantem.

— A jeźli odmówią?

— Poprzestanę na tobie, pułkowniku.

Wsiedli do powozu; za pół godziny byli na miejscu, dziesięć minut przed oznaczonym czasem.

— Śliczna miejscowość! zawołał Benedykt. Ponieważ ci panowie jeszcze nie przybyli, zdejmę z niej szkic.

Wyjął album z kieszeni i z nadzwyczajną wprawą narysował miejscowość. Pokazały się dwa powozy.

— Otóż i przeciwnicy pana, rzekł pułkownik.

Benedykt odkrył głowę.

Trzech oficerów, dziennikarz i chururg, przez ostrożność zabrany z miasta, jechali jednym powozem; ale braterstwo *Tugent-Bundu* (Węzła cnoty) nie sięgało tak daleko aby robotnika Müller'a dopuścić do swego towarzystwa. Jechał więc oddzielnym fiakrem.

Benedykt poznał z daleka, że trzej oficerowie byli to ci sami którzy przyszli mu na pomoc *pod Lipami*. Przeciwnik jego miał na sobie mundur oficera gwardyi, biały z ponsowemi wyłogami, srebrne epolety i kask złocony ozdobiony orłem z rozpostartemi skrzydłami; białe obcisłe pantaliony i długie buty. Inni mieli mundury piechoty gwardyi.

Jerzy Kleist ubrany był zupełnie czarno; nie było najmniejszego punkciku na całej osobie, któryby za cel mógł posłużyć. Był wysoki, szczupły, blondyn, nosił długie wąsy i okulary.

Franc Müller był to prosty robotnik, krępy, dość otyły, blondyn; czy dla uczczenia Benedykta czy dla pokazania się, przywdział strój niedzielny: granatowy surdut ze złotemi guzikami, białą kamizelkę i pantaliony; na szyi zawiązał ogromną chustkę.

Benedykt przywdział fantastyczny, elegancki ubiór; aksamitny surducik z wywiniętym kołnierzem; zamiast krawatu miał zawiązaną wązką na palec wstążeczkę, nic nie osłaniającą kształtnej jego szyi, kapelusz à la Van Dyck, miękki z szerokim rondem. Gdy zdjął ubranie, batystowa koszula tak była cienka, iż prawie ciało przeglądało przez nią.

Przybyli wysiedli z powozu o dwadzieścia kro-

ków od polanki i odpowiedzieli uprzejmie na ukłon pułkownika i Benedykta. Pułkownik podszedł ku nim mówiąc: iż ponieważ Benedykt nikogo prócz niego nie znał w Hanowerze, prosi więc jednego z tych panów, aby chciał być drugim jego sekundantem. Pomówili z sobą cicho, nareszcie jeden z oficerów zbliżył się do Benedykta i ukłonił uprzejmie.

— Najuprzejmiej dziękuję panu za jego grzeczność, rzekł Benedykt.

Przez ten czas major Frederyk zdejmował mundur, kask i krawat. Benedykt mógł dobrze mu się przypatrzéć.

Był to mężczyzna trzydziestokilkoletni, tak widać oswojony z mundurem, iż trudnoby mu się było z nim rozstać. Był śniady, miał czarne, lśniące, krótko obstrzyżone włosy, przylegające do skroni; piękne oczy, tchnące odwagą, prawością i szczerością; nos prosty i kształtny, czarne wąsy, wystający podbródek.

Gdyby Benedykt mógł był obejrzéć jego rękę, byłby dostrzegł na górze Saturna, tojest pod środkowym palcem ową fatalną gwiazdkę zapowiadającą śmierć gwałtowną.

Podano Benedyktowi do wyboru przywiezione przez mrjora szpady, wziął nie patrząc pierwszą z brzega. Trzymając ją prawą ręką, dotknął lewą ostrza i końca. Ostrze było ostre jak brzytwa, koniec zaostrzony jak u igły. Widząc ten ruch Benedykta, świadek majora zbliżył się do pułkownika Anderson i rzekł biorąc go na bok:

— Chciej pan objaśnić pana Benedykta Turpin, że w Niemczech przyjęte jest powszechnie, iż nie godzi się końcem, ale ostrzem szpady.

Anderson powtórzył tę uwagę Benedyktowi.

— Ah! do licha, dobrze iż uprzedziłeś mnie o tem, pułkowniku. U nas we Francyi pojedynki między wojskowymi odbywają się nie żartem, i dlatego wolno posługiwać się szpadą, jak się komu podoba.

— Ależ i tu posługuj się pan nią jak sam zechcesz, rzekł major.

Benedykt skłonił się milcząc.

XI.

Pojedynek.

Szpady przywiezione przez sekundantów majora były takie jakich wojskowi używają do pojedynków ze studentami, jedynymi *cywilnymi* którym nie mogą odmówić zadośćuczynienia. Zresztą w każdym razie szlachcic może nie przyjąć wyzwania mieszczanina

Benedykt znał niemiecki sposób fechtowania; nauczył go się będąc na uniwersytecie w Heidelbergu, gdzie miał kilka pojedynków. Obrażony ma w Niemczech pierwszeństwo.

— Zaczynajcie panowie, rzekł pułkownik.

Major wymierzył pierwszy raz z błyskawiczną szybkością. Mimo to ugodził w próżnię, gdyż Benedykt wprawny i wytrawny szermierz, odskoczył na bok i spuściwszy szpadę stanął odkryty, z nieco szyderskim na ustach uśmiechem. Nagły ten zwrot zmieszał nieco majora; chcąc pojedynkować się nie na żarty, postąpił o jeden krok ku przeciwnikowi, lecz w tej chwili ujrzal wymierzony ku sobie ostry koniec szpady. Cofnął się mimowolnie.

Benedykt wlepił w przeciwnika bystre spojrzenie; przechylał się to na prawo to na lewo, zawsze gotów do wymierzenia ciosu. Przenikliwy wzrok jego magnetyzował majora. Chcąc wyzwolić się z pod tego wpływu, śmiało, z podniesioną szablą posunął się o krok naprzód. Lecz w tejże chwili uczuł zimne dotknięcie żelaza; koniec szpady Benedykta przebił jego koszulę i wyszedł drugą stroną. Mogło się zdawać że szpada przebiła go na wylot, gdyby nie stał nieruchomy i wyprostowany naprzeciw o trzy już kroki oddalonego przeciwnika. Świadkowie przyskoczyli.

— Ależ to nic, rzekł im major.

Poczem jakby pojmując, że Benedykt chciał przebić tylko jego koszulę, dodał:

— Proszę pana, bijmy się rzeczywiście.

— Ależ gdybym był chciał wymierzyć cios rzeczywisty, jużbyś pan nie żył, odrzekł Benedykt.

— Zasłoń się pan, krzyknął major uniesiony gniewem; i proszę, wiedz o tem, że chcę aby jeden z nas został na placu.

Benedykt cofnął się o krok, salutując szpadą, poczem rzekł:

— Przepraszam panów najmocniej za to co zaszło; miałem szczery zamiar nie posługiwać się ostrzem szpady, a jednak w dwóch miejscach rozdarłem koszulę pana majora — obawiam się żeby i nadal ręka czasem nie była mi nieposłuszną. Nie chcę przybywając do obcego kraju postępować wbrew przyjętych w nim zwyczajów, szczególniej jeźli są nacechowane filantropią.

I zbliżając się do przyległej skały, wcisnął koniec szpady w szczelinę i ułamał go na szerokość palca. Major chciał pójść za jego przykładem.

— Byłoby to zbytecznem, rzekł Benedykt, pan nie posługujesz się ostrzem.

Zbliżyli się więcej do siebie; szpady ich się skrzyżowały, poczem Benedykt tak zręcznie rzucał się to w prawo to w lewo, iż broń przeciwnika zawsze godziła w próżnię. Nareszcie zniecierpliwiony chciał podsunąć się bliżej i mimowolnie końcem nadstawił szpadę. Benedykt szybko odparł cios i końcem swojej szpady dotknął piersi przeciwnika.

— Czyż nie miałem słuszności odłamując koniec mej szpady, inaczej już nie tylko koszulę, ale pana przebiłby na wylot.

Major nic nie odpowiedział; widział że ma do czynienia z wytrawnym przeciwnikiem, łączącym do żywości francuzkiej zimną krew człowieka pewnego siebie.

Po długich zapasach Benedykt nareszcie zranił lekko majora, przecięta jak brzytwą koszula na piersiach, krwią się zaczerwieniła. Świadkowie postąpili ku nim.

— To nic, rzekł major, słabe bardzo zadraśnięcie, muszę przyznać, że pan ma lekką rękę.

Major unosił się coraz więcej, czuł że wielkie grozi mu niebezpieczeństwo; że dotąd przeciwnik jego bawił się raczej niż walczył, ale że raz przecież pojedynek ten skończyć się musi, a najmniejszy fałszywy cios przyszłoby mu przypłacić życiem. Dziwna zręczność przeciwnika umiejącego stawać się niedostępnym, paraliżowała wszystkie jego ruchy — widać postanowił on sobie nie zadawać mu ciosu stanowczego, aż w chwili gdy to uzna stosownem. Zniecierpliwiony i rozgniewany wyszeptał mimowolnie:

— *Das ist der Teufel!* (To istny dyabeł.)

I nie obawiając się już ułamanego końca szpady, jednym rzutem wysunął się naprzód, podniósł rękę w górę, wymierzając cios silny, skutkiem czego odsłonił swój korpus i rękę. Gdyby cios taki trafił w głowę, musiałby ją przeciąć jak jabłko. Lecz Benedykt i tym razem zwinnie odskoczył na bok; szpada jego błysnęła w powietrzu i krwią oblana ręka majora opadła bezwładnie, wypuszczając szpadę.

(D. c. n.)

Odczyty na korzyść Osad Rolnych.

Tegoroczną seryę odczytów rozpoczął p. F. Kucharzewski, redaktor „Przeglądu Technicznego", mówiąc o *Jerzym Stephensonie i pierwszych kolejach żelaznych.* Na tło rozjaśniające doniosłość wynalazku szyn i lokomotywy, użył prelegent obrazu pierwotnej komunikacyi lądem za pomocą wozu, rzekomo przez Cyrusa wynalezionego, chociaż twierdzenie to wobec pomników archeologicznych nie wytrzymuje krytyki — wóz taki toczony na kołach walcowatych, o ile z jednej strony ułatwiał przesuwanie ciężarów, o tyle z drugiej strony był ciężki i niesposobny do użycia. W chwili, gdy koła obciągnięto metalem, tarcie przy znakomitych gościńcach rzymskich zmniejszyło się znacznie, a czasy starożytne i wieki średnie pracowały nad udoskonaleniem wozu. Dopiero w r. 1660 użyto w kopalniach węgla w Newcastle szyn drewnianych, przez co zaoszczędzono dwie trzecie części siły czyli innemi słowy koń ciągnący po bitej drodze jeden wózek, po szynach drewnianych ciągnął trzy wózki. Szybkie niszczenie szyn drewnianych naprowadziło Reynoldta w r. 1768 na myśl użycia szyn żelaznych, najpierw wklęsłych, następnie wypukłych. W tym czasie poczęto myśléć o zastosowaniu maszyny parowej, zbudowanej przez Cugnota a udoskonalonej przez Vatta 1775 r. Najgłówniejszą rolę odegrał w tem usiłowaniu biedny syn palacza maszynowego, Jerzy Stephenson, sam palacz i maszynista, który w r. 1815 zbudował przenośną machinę parową, celem użycia jej do wożenia węgla na istniejących szynach. Pierwsza kolej żelazna łącząca Manchester z Liwerpoolem została otwartą w r. 1825, w pięć lat później zaczęto budowę kolei na kontynencie, a Warszawsko-Wiedeńską kolej ukończono 1845 roku. Dziś długość kolei żelaznych na świecie wynosi 30,000 mil, z czego na Królestwo przypada 200. Rzut oka na znaczenie cywilizacyjne kolei żelaznych, ich wpływ na znakomity rozwój handlu i przemysłu, zbliżenie ludów i umniejszenie różnic cywilizacyjnych, ujednostajnienie praw międzynarodowych zakończył pierwszą prelekcyę.

Po długiej przerwie wstąpił na katedrę sali ratuszowej dr. Morawski profesor języków klasycznych Uniw. Jagiell., by pięknym językiem wygłosić rzecz o *wymowie starożytnych.* Była to udatna pogadanka, w której prelegent, miłośnik klasycyzmu poprowadził swych słuchaczów na forum i tam przedstawił retora porywającego tłumy obywateli świetną wymową, zmuszającego ich do uległości i przyjęcia stawianych wniosków. Oto przed nami stoi retor ubrany w togę fałdującą się artystycznie, zwolna płyną słowa, stopniowo głos się podnosi, wibruje silniej, całe ciało bierze udział w wygłaszanej oracyi — giną fałdy i wieniec z głowy wśród namiętnych i gorączkowych ruchów — słowa zachęty i poklaski utrzymują związek pomiędzy mówcą a słuchaczami, aż wreszcie wyczerpanego, znużonego oratora po wygłoszonej mowie odprowadzają wielbiciele do domu. Nie godzimy się na zdanie prelegenta, że mówca starożytny wpływał

silniej na słuchaczy aniżeli nowożytni oratorowie w swym jednostajnym stroju i z szablonowemi ruchami — tam w Romie i Atenach retor przemawiał do uczucia, nowożytni do rozumu, tedy zdaniem dr. Morawskiego, nic dziwnego, że nowożytne tłumy słuchaczów pozostają obojętnemi a sam mówca miarkuje swe ruchy i słowa. Otóż przypominamy tylko naszych sejmowych mówców z XVI, XVII i XVIII w., jakiż olbrzymi wpływ na słuchającą szlachtę, co za świetna wymowa poruszająca równocześnie wszystkie struny serca i rozumu. Albo też mówcy rewolucyi francuzkiej — taki Mirabeau, Marat, Danton i inni, cóż podniosło ich znaczenie, wpływy — tylko porywająca wymowa. Następnie zapomniał prelegent zaznaczyć ujemną działalność tego panowania żywego słowa, często przemawiającego w imię dobra ojczyzny, ale ileż razy prowadzącego obywateli do apatyi i spoczynku, schlebiającego i idealizującego rzekome wawrzyny. Wszak i nam dało się we znaki panowanie słowa, i nader słuszną uwagę czyni jeden z historyków pytając, gdzież pomnik wszechwładnego pana Polski z XVII i XVIII w. języka, który panegiryzmem i retorycznemi kwiatami zaścielał i zasłaniał przepaść w którą Rzeczp. szlachecka runąć miała? Prelegent przemawiał barwnie, zgrabnie, często dowcipnie a zawsze swobodnie — tuszymy sobie, że w przyszłym sezonie znów go usłyszymy w Warszawie, i zapewne prelekcya jego, zachowując udatną formę, będzie miała treść obfitszą i bardziej naukową, aniżeli tegoroczna.

Wśród naszych podróżników wybitne miejsce zajmuje p. Sygurd Wiszniowski, zasilający często pisma peryodyczne obrazkami różnych krain i ludów. Tym razem chcąc poznać życie podzwrotnikowe, udaliśmy się wraz z prelegentem na wyspę Kubę, zostającą pod panowaniem Hiszpanii. O ile obraz kraju i jego bogactwa nawet najwybredniejszego musi zadowolnić, o tyle stosunki społeczne i życie rodzinne stanowią smutną kartę. Istnienie niewoli objawia się tam w całej pełni i to niewoli ohydnej, oburzającej każdego człowieka, niewoli pozbawionej praw osobistych i rzeczowych, niewoli czarnej rasy. Pan o bladej twarzy, kreol wzbogacony, żyje i tuczy się kosztem czarnych niewolników, a obraz skreślony przez p. Wiszniowskiego, przedstawiający słuchaczom przychówek „Pana”, te biedne, bez ojca i matki, czarne, o włosach kędzierzawych dzieci, każdego musiał do głębi poruszyć. Niewola, w jakiejkolwiek się ona formie objawia, zarówno prowadzi do upodlenia niewolnika jak i ciemiężcę, to też stan moralny i intellektualny panów wyspy jest nader smutny, a serajowe życie kobiet uniemożliwia rozwój rodzinnych stosunków, które są pierwszą podstawą rozwoju i bytu społeczeństwa i państwa. Zarzucilibyśmy jedynie prelegentowi napuszystość i nienaturalność tak początku jak i końca odczytu, a wreszcie zupełne zaniedbanie wykazania stosunków ekonomicznych i przemysłowych tej bogatej wyspy, która w handlu wszechświata ważną rolę odgrywa.

Z tejże katedry ratuszowej usłyszeliśmy p. Pawła Popiela, b. profesora Szkoły Głównej, przemawiającego o *związku ducha klasycznego z literaturą nowoczesną*. Jest to rzeczą godną zastanowienia i polecamy ją pamięci przeciwników wychowania klasycznego, że ilekroć zechcemy zgłębić jaki objaw czy to z dziedziny historyozofii, cywilizacyi lub literatury, zawsze wracamy do klasycyzmu i tam szukamy nici przewodniej wiodącej nas do dodatniego rozwiązania wątpliwych kwestyi. Wprawdzie tym razem skutek nie odpowiedział usiłowaniom i oczekiwaniom, ale to już nie wina klasycyzmu — lecz metody zastosowanej przez prelegenta. P. Popiel pragnął kilkanaście wieków pracy umysłowej ludów europejskich zamknąć w szczupłych ramach jednogodzinnej prelekcyi, naturalnie powstał z tego taki ścisk i chaos, że ośmielamy się wątpić, czy ktokolwiek z słuchających zdał sobie jasno sprawę związku starożytnych pisarzy z literaturą nowoczesną. Na pojedyńcze zdania, w razie należytego umotywowania, możnaby się zgodzić, całości jednak brakło przedewszystkiem perspektywy, cieniowania i, niestety, związku.

Skarży się Słowacki, że „posiada senne królestwa, nieme harfy i słuchaczów głuchych,” a pominięcie oceny jego utworów w Kalendarzu Emigracyjnym uczuł boleśnie, jak to widzimy z Beniowskiego — lecz wątpimy czy byłby uszczęśliwiony Juliusz, gdyby ktoś wypowiedział na jego cześć panegiryk, podciągnął poezyę pod suche formułki pozytywnej filozofii, i tak przykrojoną i zeszpeconą córę niebios pokazał zgromadzonej w ratuszowej sali publiczności. A taki los spotkał sympatycznego poetę Asnyka (El....y), w którego poezyach najnowszych p. I. Rostafiński ujrzał nowy zwrot.— W prelekcyach tych p. Rostafiński, jako znakomity botanik, walczył z p. Rostafińskim jako estetykiem i literatem; co chwila brał prelegent mikroskop do ręki, skalpelem ciął na prawo i na lewo, wkładał do retorty to całe poemata, to znów wyjątki — byle wykazać ile tam się mieści wyników wiedzy pozytywnej, walki o byt, determinizmu, pessymizmu i t. d.; wtem odzywa się w prelegencie estetyk, znów nowa segregacya, odmienna ocena i miara — i koniec końców zabrakło nici przewodniej, utonęła ona bezpowrotnie wśród powodzi rozbiorów, cytat polskich, niemieckich, francuzkich, angielskich, łacińskich etc. etc. Był to istny obraz Tantala chwytającego poezyą, gdyż pozytywizm i jego metoda polega na ścisłej obserwacyi i wnioskowaniu— zaś poezya, która „rwie nam serca w nadziemskie kraje” nie dała się ująć i podciągnąć pod surowe przepisy uczonego męża — i uleciała z wonią kwiatów, z mgłą poranku, jak mówi sam poeta.

Z kolei rzeczy wypada nam przejść od poezyi do *pasożytów*, któremi uraczył warszawską publiczność p. dr. Hubert Krasiński, specyalny badacz wody i powietrza warszawskiego. Przygotowawszy sobie rysunki mikroskopijne tych wstrętnych zwierzątek, opowiedział prelegent w formie dostępnej o tasiemcu, trychinach, o różnego rodzaju grzybkach włosów, jamy ustnej etc. Pasożyty zdaniem p. Krasińskiego powodują tyfus, karbunkuł, dyfterytis — są to hypotezy naukowe, które prelegent podał za pewniki. Kwestya samorodztwa i komórek dała pochop p. Krasińskiemu do niesmacznych wycieczek i dowcipów, niezgadzających się z charakterem nauki i ze stanowiskiem prelegenta. Zważywszy, że przedmiot sam był publiczności mało znany i niezbyt nadający się na publiczną prelekcyę — musimy uznać w panu Krasińskim wcale zręcznego mówcę, który potrafił zainteresować publiczność warszawską.

Wreszcie cztery końcowe prelekcye wygłosił p. W. Dzieduszycki, znany publiczności tak z dawniejszych przemówień jak i z dzieł i rozpraw.— Tym razem obrał sobie prelegent *Sokratesa* i *Platona*, znakomitych przedstawicieli filozofii greckiej. Charakterystyka metody Sokratesa, dyalogowanie, obrazy życia towarzyskiego w Atenach i śmierć mędrca odznaczały się wybitnie wśród powodzi rzeczy pomniejszej wagi i interesu. Określenie sofistów było niedostateczne, gdyż szkoła ta filozoficzna była tak liczbą jako też swem stanowiskiem naukowem bardzo potężną i wpływową—i nie składała się z trefnisiów bawiących panów ateńskich. Zasady Sokratesa o jedności duchowej, prawdy, dobra i piękna, również dyalog o nieśmiertelności duszy, naszem zdaniem zasługiwały na wszechstronniejszy rozbiór. Platon, którego prelegent zrobił echem Sokratess, jak również znaczenie teorji platońskiej rzeczpospolitej—wyszedł blado. Jednakowoż prelekcye te wśród całego szeregu tegorocznych odczytów odznaczały się bogatą treścią i dobrym układem — chociaż samo wygłoszenie, mimo widocznych starań p. Dzieduszyckiego, pozostawia wiele do życzenia. *A. G.*

NOWE WYDAWNICTWA.

Z dziedziny praw kobiety. O prawie asystencyi męża, napisał Adolf Suligowski. Emancypacyi rwącej wszystkie hamulce, posuniętej do ostateczności, do szału, źle nawet świadczącego o zdrowych zmysłach jej zwolenniczek, żadna z rozsądnych kobiet pewno nie pragnie i pragnąć nigdy nie będzie. I my jej także nie pragniemy, ale emancypacyi opartej na godności kobiecej jako człowieka, na swobodzie w granicach nienaruszających przepisów kodeksu karnego, na prawie zarobkowania bez żadnych ścieśnień wedle sił umysłowych i fizycznych przez kobiety posiadanych, choćby nawet wyjątkowych, tej byliśmy zawsze i jesteśmy zwolennikami, bo tego wymaga prawda i sprawiedliwość. Pan Adolf Suligowski podzielając podobne zapatrywanie się, w wydanej broszurce roztrząsnął jeden szczegół w kwestyi emancypacyi kobiet, a mianowicie prawo asystencyi męża przy czynnościach cywilnych żony. W krytycznym przeglądzie tego prawa, zaraz na wstępie naznacza, że gdy według kodeksu cywilnego, wszyscy bez różnicy płci są równi w obliczu prawa, równi pod względem używania praw cywilnych, byleby posiadali wiek pełnoletni i nie byli pozbawieni zdrowych zmysłów, kobieta zamężna w duchu obowiązujących przepisów jest niezdolną do czynności życia cywilnego bez zezwolenia męża. Przebiega następnie szczegółowo wszystkie niedogodności wynikające z takiego prawa w wypadkach, gdy mąż nie jest tem czem być powinien, gdy wolą prawem uświęconą krępując wolę żony, doprowadza całe domowe szczęście do ostatecznej ruiny. Wprawdzie prawo w takim razie podaje środki żonie do otrząśnienia się z tak szkodliwej przewagi, ale droga to długa niezmiernie a i drażliwa bardzo. Samo wyrażenie, jak powiada autor, proces przeciw mężowi, chociażby niedobremu, zabrzmi niemiłem echem w każdej wrażliwej duszy. A cóż dopiero, gdy się pomyśli, że w tym procesie potrzeba niekiedy przedstawiać fakta, którym żona nie życzyłaby dawać rozgłosu.

W małżeństwach wzajemną miłością i szacunkiem ożywionych, skrępowanie to prawem woli żony, może być czasami niewygodnem; ale niczem nie zamąci wzajemnej szczęśliwości. Prawo jednak oparte na takiem przypuszczeniu, nie jest dobrem, bo warunkowem, i dopiero jest wtenczas takiem, gdy we wszelkich wypadkach jest sprawiedliwem. Wykazać to p. Suligowski wziął sobie za zadanie i wywiązał się z niego zwycięzko, przedstawiając wszystko na zdarzeniach z praktyk życia przytoczonych z wielkiem zajęciem dających się odczytać. Zmiana prawa choć tak niesprawiedliwego nieprędko

nastąpi, autor wie to dobrze, zaraz też na samym początku powiada: że do wyjaśnienia każdej wielkiej kwestyi społecznej, niemało przyczyniają się rozbiory pojedyńczych jej faz i odłamów, bez zbadania których trudno nieraz pójść naprzód w samym przedmiocie, i dlatego powodowany tą myślą, zamknął się ściśle w ramach szczegółowego przedmiotu. Że rozprawa ta przyczyni się wielce do rozumnej emancypacyi kobiet, to nie podlega wątpliwości. Jest ona już nie cegiełką ale głównym fundamentem przyszłego wielkiego gmachu uwolnienia kobiety z pod przemocy średniowiecznych przesądów, który obecność dla przyszłości buduje. Nie idzie tu, jak utrzymują niektórzy, o ruinę społecznego porządku, ale o usunięcie tego co mu zawadza, a więc o jego wzmocnienie. Prezydent Stanów zjednoczonych Ameryki, sławny Linkoln, występując do walki z południem powiedział, że społeczność, w której uprawniona jest niewola jednego człowieka, prędzej czy później sama popaść musi w niewolę. Historya to przypuszczenie najzupełniej potwierdziła. Nie powołując się na inne społeczności, w których pognębienie ludu, jak wśrodkowej Europie, doprowadziło do najstraszliwszego nad wszystkiemi despotyzmu, w naszej ta sama przyczyna wywołała podobne skutki, tylko z gorszemi znacznie następstwami, bo z utratą bytu politycznego. Kwestya rozumnej emancypacyi kobiet nie jest tak groźną, ale w miarę załatwienia jej sprawiedliwego, niesprawiedliwość innych przepisów porządku społecznego ustępować będzie. Któż tego nie pragnie, któż nie powita z radością tej reformy dowodzącej podniesienia się poziomu umysłowego całej społeczności.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Felicyana Przekłady obcych poetów. Warszawa, 1879 r. Cena 1 rub. 50 kop.

Jest to po wiekszej części zbiór próbek, nieznacznych ułamków i kilku utworów znaczniejszych, wyjętych z dzieł wszystkich prawie znakomitszych poetów świata, jak to opiewa wykaz na karcie tytułowej, obejmujący imiona aż 14 poetów (Hezyod, Horacyusz, Wergiliusz, Juwenalis, Jacopone, Dante, Petrarka, Szekspir, Walter-Skott, Szyller, Wiktor Hugo, Alfred de Musset i Béranger), którzy pisali w 6 rozmaitych językach (po grecku, po łacinie, po włosku, po angielsku, po francuzku, i po niemiecku). Niewątpliwie wolelibyśmy przekład jakiego większego utworu, kilku lub wszystkich dzieł któregobądź z tych poetów (choćby np. zupełny przekład Hezyoda albo Juwenalisa) niż ten zbiór kawałków, wszelako przyjmując to co nam autor daje, rozpatrzmy się pokrótce w tej wiązance „ukochanych prac" jak je nazywa.

Przekłady Felicyana należą w ogóle do tak zwanyah wolnych. Wiemy że i ten rodzaj tłomaczenia, a raczej naśladownictwa, znajduje licznych zwolenników — tych głównie, którzy z przekąsem i pogardą mówią o przekładach „niewolniczych"; przyznaję również, ze pomiędzy przekładem niewolniczym a wolnym, jak we wszystkiem, jest środek—przekład *wierny*; ostatecznie jednak oddałbym pierwszeństwo tłomaczeniu niewolniczemu przed wolnem. Czynność bowiem tłomaczenia, o ile jest rzeczą podziwienia godną i najcenniejszym, niemal cudownym owocem boskiego wynalazku mowy, skoro jesteśmy w stanie usuwać przedział czasu, narodowości i języka i zmuszać wieszczów obcych do przemawiania do nas naszym własnym językiem — czynność ta bardzo trudna jest z natury rzeczy niewolą, a produkt jej—przekład wyrobem niewolniczym. Jeżeli bowiem taki tylko przekład uznajemy za dobry, który obudza w nas to samo wrażenie, jakie niegdyś wywierał wieszcz dawny na swoich rodaków, którzy go słuchali lub czytali; jeżeli w formy innego języka mamy przelać wszystkie myśli, obrazy i poglądy oryginału, to rzeczą jest oczywistą, że nie mamy prawa nic ująć ani dodać, przemilczając to co w pierwowzorze było wyraźnie wypowiedziane lub narzucając dawnemu poecie myśli, obrazy i poglądy do których ten byłby się może nie przyznał. Jedyna więc swoboda tłomacza — w naginaniu swojego języka, bez uszczerbku jego czystości i bez pogwałcenia jego ducha do treści przelewanej weń z pierwowzoru.

Nadto, co się tycze utworów klasycznych poezyi greckiej i łacińskiej, w nich, jak wiadomo, forma była ściśle połączona z treścią, niejako zrośnięta i spojona w obustronnej zależności, w muzykalnej harmonii dźwięku z wyrażonem uczuciem lub myślą. Iliada przestałaby w znacznej mierze nas zachwycać, gdybyśmy przerobili z hexametru np. na wiersz sześciomiarowy jambiczny; ody Horacyusza, przeciwnie straciłyby dużo uroku, gdyby były pisane hexametrem lub starym wierszem saturnińskim. Utwory poezyi greckiej, wyrosłe kolejno i organicznie, z konieczności nawet mają tę a nie inną miarę, gdyż rozmaite rodzaje wiersza powstały z akompaniamentu muzycznego, z melodyi najodpowiedniejszej temu lub owemu rodzajowi poezyi. Dziś bowiem dorabiamy muzykę do wierszy, a u Greków wiersze do muzyki dorabiano. Z tego więc względu jestem tego przekonania, że w przekładach utworów klasycznych należy uszanować także ich formę, o ile na to nasz język pozwala, a pozwala, jak mniemam, w znacznej mierze. Długie i poważne hexametry Homera lub Hezyoda, jeźli będą w przekładzie obcięte i przerobione np. na wiersz jedenastozgłoskowy, wywołają zupełnie odmienne od oryginału wrażenie, a poważna strofa alcejska lub asklepiadejska Horacego, oddana w przekładzie jakąś skoczną nutą, w naszych oczach staje się nawet śmieszną. Język nasz posiada również żywioł metryczny, chociaż dziś już nie w iloczasie lecz w akcentach; możliwość hexametru polskiego, i to wcale dobrego, została już dostatecznie wykazaną i w teoryi (od czasów Królikowskiego i Elsnera i w praktyce (od czasów Mickiewicza), a sądzę, że inne miary wierszowe możnaby z pomyślnym skutkiem naśladować. Rymy, zupełnie obce poetom starożytnym, a przez naszych tłomaczów powszechnie używane, psują również formę klasyczną: w przekładach dzieł klasycznych przyrównałbym je do szlif generalskich na posągu Cezara, nie mówiąc już o tem że pogoń za rymami mnoży i tak już znaczne trudności dobrego tłomaczenia i z konieczności prowadzi do metody „wolnych przekładów".

Wytknięte wady formy znajdujemy wszystkie i w niniejszych przekładach Felicyana. Wiersz tu rymowany, do miary oryginału niepodobny. Jest w nim nadto jakieś nowsze, niezawsze stosowne zacięcie humorystyczne, oryginałowi obce, jak to poniżej kilkakrotnie sprawdzimy.

Najpierwej napotykamy przekład kilku ustępów z poematu Hezyoda „Prace i Dni." Są to zaprawdę pojedyńcze urywki, prawie bez związku, poprzerywane opuszczeniami miejsc najlepszych: tak np. pięknego ustępu o stworzeniu Pandory (w oryginale w 59—89) nie znajdujemy tu wcale, chociaż są ustępy poprzedzające i bezpośrednio następujące; napróżno również szukalibyśmy tu słynnej opowieści o pięciu wiekach świata, będącej perłą poematu (w 107—171; w przekładzie znajdujemy zaledwie kilka wierszy końcowych o wieku żelaznym. Niepodobna wprawdzie, z wyjątkiem niektórych usterek językowych, odmówić tłomaczowi jędrności i potoczystości wysłowienia, ale zbyteczna wolność przekładu odbiera mu dużo wartości; rzadko bowiem znaleźć jakikolwiek wiersz oryginału, któryby był wiernie przez tłomacza oddany. Oto już nawet początkowe 2 wiersze w dosłownym przekładzie tak brzmią: „Muzy Pieryjskie, powolne wezwaniem śpiewaków, pójdźcie wysławiać pieniem swego ojca!" a u naszego tłomacza: „*O słodkobrzmienne* (?) Muzy przedewszystkiem od Ojca Ceusa (!) poczynajcie chwały." To już wcale nie przekład, ani wolny nawet, lecz dalekie naśladowanie. Mniej więcej tak samo i dalej. W 9 wierszu oryginału czytamy piękne słowa modlitwy: „wejrzyj i usłysz łaskawie i sprostuj prawa według słuszności"; w przekładzie słów tych zupełnie nie znajdujemy, a natomiast czytamy dowolny dodatek tłomacza: „Nas wszystkich w ręku ma jak *snów igrzyska* (!) Więc dobrze jeśli jego moc uznacie." W oryginale nic z tego nie ma. Poeta mówi o dwóch rodzajach *waśni* następnemi słowy (w 10—15). „Nie jeden był rodzaj waśni, lecz dwa są jej rodzaje na ziemi: pierwszy, po namyśle, możnaby pochwalić; drugi — naganny, a oba duszę rwą na dwoje. Jedna waśń, nędzna, mnoży złą wojnę i zwadę i żaden śmiertelnik jej nie lubi, lecz z konieczności, z wyroku nieśmiertelnych, ludzie tę ciężką waśń znoszą." Posłuchajmy teraz tłomaczenia tego ustępu.

Dwoma sposoby *nabyć można mienie*:
Jeden jest wszystkim cenny nieskończenie,
Drugi zaś zbrodni blizki i ten właśnie
Wznieca o *miedze pośród sąsiad* waśnie.
Ztąd więc silniejsi bracia słabszych gniotą,
Ludzie przemożnej nienawidzą pieści,
Lecz że bogowie tak chcą mieć najczęściej,
Uległość zbójcom jest z potrzeby cnotą.

Zaprawdę zbyt dalekie jest podobieństwo tych wierszy do przytoczonego powyżej oryginalnego tekstu.

Następny także ustęp (w 16 — 41) został podobnież tylko lekko naśladowanym i przytem 26 wierszy oryginału tłomacz ścisnął w 10-ciu; o wierności może świadczyć porównanie np. wierszy 23—26 oryg. które tak brzmią dosłownie: „Sąsiad spółubiega się z sąsiadem, starającym się o bogactwo: dobra to zawiść dla śmiertelników. I zdun jest niechętny zdunowi, i budowniczy budowniczemu, i żebrak żebrakowi, i śpiewakowi śpiewak zazdrości." Szukając w odpowiedniem miejscu, znaleźliśmy u tłomacza takie tylko wiersze:

„Choć widząc taki, co w lenistwie pości,
Że pracowity korzyść odniósł w źniwie,
Jeśli nie z cnoty, tedy choć z zazdrości,
Zechce, jak tamten, wspomódz się godziwie."

Mógłbym, idąc krok w krok za tłomaczeniem, przytoczyć daleko więcej podobnych próbek, ale dla oszczędności miejsca i uważając, że przytoczone zestawienia dostatecznie już charakteryzują stosunek przekładu do oryginału, porównam jeszcze tylko końcowe wiersze poematu, dla pokazania, jak wyglądają u tłomacza i te także ustępy, w których przekład, stosunkowo, jest bliższym oryginału. Oto jak kończy swój utwór Hezyod: „Te więc są dni wielce pożyteczne dla ludzi, zamieszkujących zie-

mię, reszta — dni pośrednie, nieszkodliwe, ale nie przynoszące żadnego pożytku. Ten dzień jedni chwalą, ów znowu—drudzy, a mało kto zrozumie. Jeden dzień bywa macochą, inny znowu — matką. Błogosławiony i szczęśliwy pomiędzy ludźmi jest ten, który rozumiejąc to wszystko pracuje, czysty od winy wobec ludzi, rozpatrując lot ptaków i unikając występków" (w. 820—826). U p. Felicyana to zakończenie brzmi jak następuje:

„Te są dni ludzkich prace *znamienicie*
Krzepiące ducha. Ziemskie nasze życie
Naprzemian matką i maćochą bywa,
Więc że *po tysiąc razy* jest szczęśliwa
Dola człowieka, który *w pocie czoła*
Ojczysty zagon uprawiając, zdoła
Przez cześć praw boskich, które uwielbiamy,
Wciąż cnocie służyć i nie zaznać plamy.
Taki w spokoju wiedzie żywot błogi,
Gdyż nań miłośnie patrzą z niebios bogi.

(D. c. n.)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Zeszłej niedzieli we wszystkich świątyniach Pańskich odczytaną została z ambon przez kaznodziejów odezwa JMks. Sotkiewicza, administratora archidyecyzi warszawskiej.

Przytaczamy tu parę ustępów z tej odezwy czcigodnego kapłana:

„Jak inni ludzie, tak i żydzi mogą mieć swoje grzechy, ale nie do nas należy karcenie grzechów ludzkich, boć i nam też ich nie brakuje.

Karę za grzechy Bóg sobie zastrzegł i zachował, a człowiek sięgający w prawa Boże ciężko znieważa Boski majestat.

Dlatego też bracia ukochani, ile razy w dawnych czasach ludzie dzicy i nieoświeceni rzucali się na żydów, Kościół ich, choć niewiernych, brał w swoją opickę i krzywdy im robić nie pozwalał.

Papieże surowe wydali postanowienia przeciwko takim napastnikom.

Otóż i dzisiaj, kochani bracia, gdyby ludzie źli chcieli was podejść i udając religijną żarliwość chcieliby was przekonać, że przeciwko niewiernym powstawać należy, nie dajcie się ułudzić, wytrzymajcie dobrze próbę wiary naszej i odrzućcie zwycięzko wszelkie podszepty.

A tym sposobem zachowaną zostanie zgoda z naszymi współobywatelami innej wiary, i kraj nasz spokojny i tak bardzo pokoju potrzebujący nie ulegnie nieszczęściu."

Słowa te czcigodnego naszego pasterza powiada „Kuryer Warszawski", pełne są namaszczenia chrześciańskiego i opierają się głównie na tej wzniosłej zasadzie:

„Kochaj bliźniego jak siebie samego".

Wprowadzenie w czyn tej zasady błogie tylko za sobą przynieść może skutki.

Nienawiść dzieli, miłość jednoczy.

A nam przedewszystkiem potrzeba zjednoczenia, spokoju i pracy.

Wszystkie te trzy pierwiastki dobra społecznego powinny być uszanowane.

Ludność warszawska niejednokrotnie już dowiodła wysokiego społecznego wyrobienia, można więc mieć niepłonną nadzieję, że i obecnie utrzyma owo zachowanie się pełne godności i nakazujące szacunek u tych nawet, którzy pragnęliby cudzą biedę na swoją korzyść obrócić...

A takich nie brak!

+ Czytamy w „Gazecie Toruńskiej": Bez przechwałki przyznać sobie możemy, że świadomość i poczucie narodowości bardzo się u nas podniosło w Prusach Zachodnich, w przeciągu ostatnich lat 25, i to we wszystkich warstwach społeczeństwa, a co szczególniej pociesza, że najsilniej w najniższych. Świadomość siebie i swojej odrębności polskiej, cechująca lud tutejszy, widoczna troskliwość o wychowanie dzieci i zbudzenia poczucia narodowości w przyszłem pokoleniu, oto owoce pracy ducha obywatelskiego w ziemiach dawnego województwa chełmińskiego, które z tradycyi i położenia swego były naszemi Atenami... Nie brakuje bardzo znacznych nawet ofiar na wszelkie cele szlachetne... chlubnym tego dowodem są nasze towarzystwa dobroczynne, a szczególniej mające na celu oświatę i naukę. Dzięki temu stan oświaty podniósł się nagle w ostatnich 25 latach; a znać to i po liczbie ludzi którzy odebrali wyższe wykształcenie naukowe, jakoteż po liczbie przysposobionych odpowiednio do zawodów praktycznych, a nareszcie i tych którzy nie doszedłszy pewnej jakiejś mety, nabyli jednak więcej wiadomości i z większym zasobem wiedzy i doświadczenia weszli w życie. „Gazeta" przyznaje iż stan rzeczy mógłby być jeszcze pomyślniejszym pod względem moralnym (bo pod względem materyalnym jest bardzo niekorzystny) ale zarazem przypomina z jak ciężkiemi musiano walczyć okolicznościami. A jednak, dodaje: gdy, mimo to wszystko zajrzy się do dworów i dworków, oraz do naszych chat włościańskich, gdy się obejrzeć po polach i po zagrodach — widoczny jest postęp nawet w pracy czysto materyalnej, postęp w gospodarstwie. A nic nie dopomogły nam do tego subwencye rządowe, ani urzędowi nauczyciele — nasza to własna praca, stało się to za naszem staraniem i za nasze pieniądze.

+ P. Sygurd Wiszniowski pisze z Berlina do „Kuryera Warszawskiego":

„W podróży z Krakowa do Londynu mogłem się przekonać iż nigdy jeszcze nie było podobnej wędrówki narodów do Ameryki, jak w roku bieżącym. Wszystkie dworce kolei przepełnione są wychodźcami, wszystkie perony zawalone bagażami nieszczęśliwych ludzi uciekających z rozmaitych prowincyi cesarstwa niemieckiego przed skutkami panowania opartego na militaryzmie i bezmiernych podatkach. Gromady biednych chłopów polskich składają wielką część tej emigracyi, której większość jedzie zguby szukać po za morzem, uciekając od strasznego złego znanego, do strasznieszego, ale nieznanego jeszcze.. Statystyka wykazuje dowodnie, iż nigdy jeszcze nie notowano tyle wychodźtwa co w r. b., albowiem w dawniejszych latach liczba emigrantów opuszczających Hamburg dochodziła najwyżej 7—8000 w pierwszym zimowym kwartale, przykrym do morskiej przeprawy, w r. b. w tymże kwartale już dwadzieścia kilka tysięcy ofiar bismarkowskich uciekło z tegoż portu do swobodniejszej ziemi. Fakt ten potwierdzają gazety berlińskie. Jeżli w tej ogólnej wędrówce procent Polaków stoi w równomiernym stosunku do liczby naszych kmiotków, spotykanej przezemnie między emigracyą napełniającą dworce górno-szlązkie, wrocławskie, głogowskie, berlińskie i t. d., tedy wolnoby wnosić, że od nowego roku ubyło nam 6—8000 par użytecznych ramion i serc uczciwych... Smutny to rachunek!... Kiedyż nareszcie skończą się podobne widoki! Kiedyż krzyżak przestanie mieczem lub wygnaniem tępić prawych właścicieli ziem słowiańskich!..."

+ Dnia 3 maja odbyło się w Paryżu doroczne posiedzenio Towarzystwa historyczno literackiego. Posiedzenie to zagaił przemową przewodniczący, książę Władysław Czartoryski, poczem p. Gadon, sekretarz Towarzystwa, odczytał sprawozdanie z czynności. Otrzymano w darze blizko 300 tomów różnych dzieł, w większej części ofiarowanych przez rząd francuzki. Na posiedzeniach miesięcznych bywały odczyty. P. Leonard Niedźwiedzki traktował przedmiot filozoficzny o Hoene Wrońskim; p. Gasztowt o czeskim poemacie Wrhlickim, a dr. Michałowski o swych badaniach języka polskiego. Towarzystwo wypłaciło 1800 fr. nagrody za dzieło historyczne profesora Smolki z Krakowa i urządziło nabożeństwo żałobne dnia 21 maja w Montmorency, gdzie spoczywają zwłoki Niemcewicza, Kniaziewicza, jenerała Władysława Zamoyskiego, Mickiewicza i wielu innych. Prócz tego Towarzystwo czuwa nader gorliwie nad nieocenionym skarbem, jakim jest „Biblioteka Polska" w Paryżu. Ze sprawozdania dowiadujemu się, że Towarzystwo miało do rozporządzenia mniej więcej 12,000 franków, z których po odtrąceniu wydatków, pozostało 5,000 fr. Po p. Gadon zabrał głos dr. St. Lucas, zajmujący się badaniem archiwum odnośnie do sprawy polskiej. Głównym celem tego nader zajmującego odczytu było skreślenie dziejowego obrazu Polski w obec wypadków XVII wieku. Prelegent wykazał najpierw, iż żaden ważny wypadek, ani wielkie wstrząśnienia w narodach nie następują bez powolnego dziejowego przygotowania; następnie rzucił śmiały i sumienny pogląd na stan Polski za Zygmunta III, Władysława IV, i Jana Kazimierza, zestawiając umiejętnie wypadki tworzące jakby jeden obraz, łatwo dający się porównać z ówczesnym stanem Europy. Po wojnach religijnych, których nie wszystkie epizody tym mianem nazywać można, i po kongresie westfalskim, grom strasznych nieszczęść runął na Polskę stojącą u szczytu potęgi, tak że jedna tylko warownia Częstochowska została niepodległą. Główną zaletą badań d-ra Lukasa jest jasne przedstawienie stosunku Polski z zagranicą i wykazanie korzyści z przymierza francuzko-szwedzkiego. Dr. Lukas ubolewał, że ojcowie nasi nie chcieli czy nie umieli korzystać z pomyślnych okoliczności, dalej wykazuje ogólne w owych czasach dążenie do absolutyzmu, i że jedni tylko królowie polscy jasno patrzyli na przyszłość i ostrzegali naród o grożącem mu niebezpieczeństwie.

+ Czytamy w „Głosie:" W gazetach zagranicznych pomieszczane są dość często wiadomości o pobycie N. Pana w Gatczynie. Wiadomości te są niedokładne lub błędne, zwłaszcza gdy mówią w jaki sposób strzeżona jest rzeczona rezydencya. Pod tym względem użyto wszelkich możliwych środków dla najlepszego zabezpieczenia pałacu. I tak: każdy przybywający do pałacu gatczyńskiego, musi natychmiast udać się do t. z. kwadratu kuchennego, w lewem skrzydle pałacu, zkąd prowadzony jest do kantoru naczelnika bezpieczeństwa rezydencyi cesarskiej, gdzie zapisują jego imię i nazwisko oraz imię ojca, stan, do kogo i po co przybył i kto go zna z mieszkańców pałacu. Po takiem wybadaniu prowadzą go do miejsca i celu przybycia. Przybyły powraca takąż drogą, i każdy wychodzący z pałacu zapisywany jest w osobną książkę. Bezwarunkowo dla nikogo nie robią wyjątków.

Służba pałacowa i wogóle wszyscy mający stał

stosunki z pałacem, zaopatrzeni są w swoje fotografie—w tym celu sprowadzono z Petersburga osobnego fotografa. Na odwrotnej stronie biletowej fotografii wypisane jest dozwolenie wejścia do pałacu, poświadczenie tożsamości osoby i pieczęci kantoru. Duplikat biletu z fotografią zachowany jest w kantorze, przy alfabetycznym wykazie służby dworskiej i osób zmuszonych bywać codziennie w pałacu gatczyńskim. We wzmiankowanym wykazie alfabetycznym pomieszczony jest szczegółowy rysopis, nazwisko i zajęcie wszystkich osób tak ze służby dworskiej jak i postronnych, tak, że przy najmniejszej wątpliwości tożsamość każdej osoby natychmiast może być sprawdzoną. Rysopisy te sprawdza i uzupełnia codziennie pułkownik Antonów, naczelnik bezpieczeństwa pałacowego. Twórcą pomysłu tych fotografii jest generał Baranow, a wykonał go hrabia Woroncow-Daszkow, czuwający bezustannie nad bezpieczeństwem Najjaśniejszego Pana.

+ Wydawcy angielscy nie pominęli sposobności skorzystania z ciekawości i zajęcia jakie budzą powszechnie ostatnie wypadki polityczne w Cesarstwie. Za dowód ich przedsiębiorczości i sprytu wydawniczego, służyć może pojawienie się obecnie dwóch dzieł osnutych na tle „tajemnic Rossyi współczesnej i nihilizmu". Pierwsze z tych dzieł nosi tytuł: „Tajemnice Petersburga", przez M. Gorczakowa; drugie, trzy-tomowa powieść W. Black'a, „Wschód, obrazy z obecnej chwili". Oprócz tego czasopismo londyńskie *London Society* zamieszcza nader sensacyjne opowiadanie, p. t. „Noc wśród nihilistów rossyjskich".

+ Krumirowie, niedawno jeszcze zupełnie prawie nieznani, dziś z powodu francuzkiej wyprawy tunetańskiej stali się głośnymi w Europie. Nie są o Berberowie, mieszkający w Kabylii w domach zbudowanych z kamienia; osiedlili się w górach dopiero na początku XVI wieku. Wówczas ulegali oni władzy rozległej federacyi religijnej Szabia, która szerzyła swe panowanie duchowne nad Tunisem i Algeryą. Po upadku władzy Szabii, Krumirom groziło prześladowanie jako służebnikom tyranii; uciekając przed niem, schronili się w góry w których przebywali Berberowie, i tych pochłonęli albo wytępili. Wzorem Berberów rządzą się oni za pomocą zgromadzeń sądowych zwanych „bżemmaa", złożonych z najstarszych w pokoleniu. Wyznają religię mahometańską, ale podobnie jak Kabyle jedzą mięso dzików, których bardzo wiele znajduje się w ich lasach. Krumirowie są dumni ze swej niepodległości. Kilku starszych krumirskich przybyło do głównej kwatery jenerała Ritter'a, jak wiadomo zmuszonego opuścić dowództwo z powodu zapalenia mózgu skutkiem uderzenia promieni słonecznych. „Jenerale, rzekli do niego, jesteśmy dziećmi tej ziemi, i nic się od nas nie należy ani beyowi tunetańskiemu, ani Francyi."— W roku 1830 bej wysłał wojsko do Krumirów dla poboru podatków; wojsko wróciło z niczem i odtąd bej zostawił Krumirów w spokoju. Krumirowie żyją w namiotach i liczą zaledwie kilka wsi, mają pewne miejscowości wyznaczone na targi, a za punkt zborny służą im groby ich świętych. W razie zatargu, strona nie mająca dostatecznych dowodów, składa przysięgę na grób świętego. Prowadzą oni ciągłe wojny z sąsiadami, uprawiają jęczmień, proso i kukurydzę, pszenicy sieją mało. Za monetę służy im bydło rogate. Utrzymują że Krumirowie mogą wystawić do boju 12,500 ludzi, zaopatrzonych w broń myśliwską, w stare skałkówki i kordelasy. Za wojownikami postępują kobiety, wyśpiewując po arabsku pieśń wojenną:

„My jesteśmy córami Tauryku. Pod stopami naszemi ściele się piękny kobierzec; na szyjach naszych świecą sznury pereł, a z włosów naszych wieje zapach piżma. Uderzcie na wroga, a obejmiemy was w nasze ramiona, ale się nie doczekacie naszych pieszczot, jeźli się cofniecie."

Kobiety postępując za wojownikami, niosą naczynia z czerwoną farbą, którą malują znak na burnusie zbiegłego z pola bitwy. Podobny zbieg ściąga na siebie ogólną pogardę i długo nie może się pokazać w swojem pokoleniu.

+ Zagraniczni przemysłowcy coraz lepiej pojmują i oceniają korzyści reklamy i ogłoszeń, dotąd pomysłowością pod tym względem słynęli, Amerykanie, Anglicy i Francuzi — dziś olbrzymim krokiem podążają za nimi Niemcy. Oto reklama jednego z ich przemysłowców.

„Książę indyjski, Nena-Sahib XXII, ofiarował do ogrodu zoologicznego w Berlinie 17 tygrysów królewskich. Nader zajmującym jest sposób w jaki tygrysy te zostały schwytane. Nena-Sahib rozkazał wysypać pewną okolicę liśćmi palmowemi, które uprzednio zostały posmarowane karukiem rybim, nadzwyczaj mocno kleistym. Wieczorem tygrysy przyszły w tę okolicę, i nie przewidując co ich czeka, wstąpiły na liście które natychmiast przykleiły im się do nóg — naturalnie usiłowały koniecznie pozbyć się nieprzyjemnego obuwia, skutkiem czego coraz bardziej osmarowały się klejem. Wtedy wpadłszy w szał, zaczęli tarzać się po ziemi i coraz więcej liści przylepiało się *do ich ciała*; nareszcie zalepiły im się oczy, tak że mimo kłów i pazurów stały się zupełnie bezbronne, i można je było kijem zapędzić do stajni. Tych 17 osmarowanych tygrysów zawieziono do Hamburga a ztamtąd już pieszo popędzono do Berlina, w ten sposób że ogon poprzednika przylepiony był do przedniej łapy następnego, i tak wszystkie tworzyły jeden długi szereg. To dowód jak ów klej rybi musi być silny, skoro z jego pomocą zdołano złowić tylu tygrysów, — to też łatwo pojąć, iż działanie jego nie ogranicza się do samych tygrysów, lecz że równie skutecznie używać go można do kitowania porcelany, szkła, skóry, drzewa, papieru, massy drzewnej, podeszw (?) lamp, talerzy porcelanowych, wazonów marmurowych, figur gipsowych, fajek piankowych, i t. d. Cudownego tego kleju można nabyć u Adolfa Lemeg, Postdamerstrasse, 98. — Cóż powiecie, czytelnicy na ten koncept przemyślnego Niemca? Chyba na lep ten, zamiast tygrysów, da się złowić nie jeden łatwowierny.

+ *Przyroda i Przemysł* podaje, iż najlepszym środkiem przeciw wszelkiego rodzaju oparzeniom, nie wyjmując przepalenia od słońca, jest roztwór sody. Soda sucha nie pomaga, jeźli nie przyłożyć na nią tak wilgotnej opaski, aby się mogła rozpuścić. Posypanie oparzonego miejsca proszkiem sody i zawiązanie mokrą opaską, leczy prawie doraźnie. Dostatecznem jest częste obmywanie mocnym roztworem. I dlatego należałoby mieć zawsze w domu flaszkę z podobnym roztworem, tak mocnym, że sól mniej więcej osiada na dnie. Jest to tak zwany roztwór nasycony. Wielu utrzymuje, że ból od oparzenia pochodzi w skutek ścięcia się białka tkanek i ciśnienia jego na nerwy, i że soda usuwa to ciśnięcie rozpuszczając białko. Zdaniem innych, oparzenie powoduje wytworzenie się ostrego kwasu, który soda zobojętnia.

W temże piśmie czytamy: P. Schlumberger przedstawił niedawno Towarzystwu hygienicznemu francuzkiemu sposób szybkiego gaszenia pożaru albo przedmiotów oblanych płonącą naftą. Wiadomo jak często zdarzają się podobne wypadki, przez nieostrożne zapalanie lamp naftowych, lub ich stłuczenie, a skutkiem braku odpowiedniej natychmiastowej pomocy podobne wypadki pociągają nader niebezpieczne a nawet śmiertelne następstwa. P. Schlumberger zaleca aby w składach, na każdej beczce umieścić odpowiedniej wielkości butelkę, pełną ciekłego amoniaku. Jeźli nafta się zapali skutkiem nieostrożności czy wybuchu, płomień czy wstrząśnienie stłucze butelkę, to para amoniaku, nasycając powietrze stanie się niezawodnym i samodzielnym środkiem gaszącym. P. S. pragnie aby dostępny ten dla każdego środek został polecony przez władzę, jako obowiązujący wszystkich składników. W razie wypadku zapalenia się nafty dość na gorejący płyn wylać odpowiednią ilość amoniaku.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie strojne wizytowe. Spódnica z plisowaniem z gładkiego atłasu, suta draperya tunikowa z atłasu w kolorowy deseń; do stanika dodana kamizelka aksamitna i szmizetka plisowana z gładkiego atłasu, kołnierz i ubranie rękawów z aksamitu i koronki. Ubranie to opisane jest dokładnie przy rycinie 31 w N. 20 Tygodnika mód.

Strojne ubranie letnie. Do sukni z miękkiego fularu, spódnica oszyta jest trzema szerokiemi wolantami oszytemi szeroką koronką, nad niemi draperya podpięta z boku kokardą z długiemi końcami z szerokiej atłasowej wstążki. Mankiety koronkowe i takiż żabot ozdobiony gałązką kwiatów. Ten fason nadaje się do materyałów cieniowanych.

Ubranie balowe, albo na proszone obiady. Suknia atłasowa z długim trenem, ozdobiona wskazanym garnirunkiem i draperyą szalową z jedwabnego tiulu, haftowaną kolorowemi pelami i naszytą pasami aksamitnemi. Podobny haft zdobi stanik aksamitny z długą baskiną. Na ramionach kokardy ze wstążki atłasowej. (466)

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 11 Мая 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 22 r. 1881.

HISTORYA PEWNEJ PARYŻANKI,

przez

Oktawiusza Feuillet,

Członka Akademii francuzkiej.

Przekład

J. BELEJOWSKIEJ.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Dalszy ciąg).

Rzeczywiście ta długa rozmowa pani de Maurescamp z Jakóbem de Lerne, zwróciła uwagę i obudziła ciekawość obecnych. Postrzegła to Joanna, i aby temu sam na sam odjąć jakiś podejrzany charakter, rzekła głośno żegnając się z hrabiną:

— Daremne moje trudy, kochana hrabino, żadnej nadziei!

Matka Jakóba, zdala z żywem zajęciem śledziła wyraz twarzy rozmawiających, i zupełnie innego była zdania; obiecywała sobie owszem że trudy Joanny bynajmniej nie były stracone, i że może mieć nadzieję.

VI.

Wiadomo już mniej więcej jak powstaje miłość, ale któż powie jak i zkąd wyradza się sympatja. Niepodobna prawie pochwycić licznych powikłanych nici, łączących dziwnem tem uczuciem dwa serca i dwa umysły. Pociąg kobiecy nie przeszkadza ale nie jest bynajmniej niezbędnym, ponieważ sympatja powstaje często między osobami jednej płci, i nie cofa się przed siwym włosem. W jakiejże tajemniczej zgodności pojęć, upodobań i przymiotów czy wad, szukać należy subtelnej przyczyny tego nagłego porozumienia między dwiema prawie nieznanemi sobie istotami, tej żywości zamienionych wrażeń, tego porozumiewania spojrzeniami, tej łatwości i potrzeby wzajemnych zwierzeń? Nie umiemy odpowiedzieć na to; to pewna jednak że Jakób de Lerne doświadczał tego nieokreślonego uczucia dla Joanny de Maurescamp, a po tej poufnej rozmowie i ona bardzo do tego była skłonną. Jakkolwiek zdawałoby się że niezgłębiona otchłań dzieli tego przeżytego—jak utrzymywano—człowieka od tej uczciwej i nieskalanej kobiety; jednak oni porozumieli się półsłówkami. Mimo tak wielkich zachodzących między nimi różnic, czuli że w gruncie mają coś wspólnego z sobą, co usposabia ich do jednakich wrażeń i sposobu widzenia, do jednakich w życiu przejść i prób, jednakich radości i boleści.

Te sympatyczne spotkania, to jakby wygrywające losy w życiu światowem; w zmiennych i rozległych stosunkach paryzkich trwają one często tylko przez ciąg obiadu lub wieczoru. Podoba się sobie wzajemnie, unosi i zachwyca wspólnie, czyni zobopólne zwierzenia, zdaje się wzajemne uczucie łączy dwie istoty, i nie widzą się więcej lub ledwie za rok. Tak być nie megło odnośnie do Jakóba de Lerne i pani de Maurescamp; żyli w jednym świecie, w kółku dość poufnem, mieli więc spotkać się znów niezadługo i wrócić do przerwanej rozmowy.

Pan de Lerne myślał o tem parę dni, i nareszcie uznał iż powinien złożyć wizytę pani de Maurescamp. Dlaczego chciała koniecznie żeby się żenił? Jaka kryje się w tem tajemnica?... W każdym razie był to dowód życzliwości, wart przynajmniej grzecznego podziękowania. Pewnego więc dnia wybrał się do niej około piątej po południu; zastał tam pana de Monthélin siedzącego przed kominkiem. Pan de Monthélin, któremu dość już dała się we znaki sama obecność Toby, wpadł w taki gniew na widok pana de Lerne, iż zapomniał o obowiązujących formach towarzyskich, i wbrew najprostszej znajomości świąta którą przecież posiadał doskonale, tak uporczywie przedłużał swoją obecność, iż Jakób zmuszony był odejść pierwszy, choć przyszedł ostatni. Nie wiele zyskał na tem pan de Monthélin; lodowate wychodzenie z nim Joanny po wyjściu Jakóba de Lerne, dało mu uczuć całą niezręczność swego postąpienia. Jak się to często zdarza, chcąc ją naprawić, popełnił nową:

— Zdajesz się pani gniewać na mnie, rzekł z uśmiechem, żem nie ustąpił miejsca panu de Lerne?

— Nie przeczę, odrzekła. Przyszedłeś pan przed panem de Lerne, pozostając po jego odejściu, nadałeś pan sobie jakby prawa pana domu, których, o ile wiem, bynajmniej nie posiadasz.

— Masz pani słuszność; błagam o przebaczenie —ale sama pani wiesz że uczucie nie rozumuje.

— W takim razie źle bardzo robi. Tem więcej, że co do pana de Lerne, z powowdu swego z nim pojedynku, postawiłeś się pan w położeniu nakazującem mu szczególniejszą względem niego uprzejmość i względy.

— Prawda, ale zbrakło mi sił aby ztąd odejść..

— Ale, przerwała Joanna, czy można wiedzieć co było powodem owego pojedynku?

— Och! nic ważnego... jakaś plotka.

— Plotka?... i jakaż to?

— Powtórzono mi pewne ubliżające słówko.

— A!... i jakież to?... nie chcesz pan powiedzieć? wolisz żebym odgadła?

— Więc wiesz pani.

— Ma się rozumieć.

— Jaki głupi koncept! nieprawdaż?

— No!... nie koniecznie.

— W każdym razie, spodziewam się że nie on to pani powiedział?

— O nie! pan de Lerne ma zbyt wysokie poczucie honoru i prawości aby miał to uczynić, odparła Joanna.

Widząc że ta utarczka na słówka zwracała się ciągle na jego niekorzyść, pan de Monthélin wypowiedziawszy jeszcze jakieś wytłomaczenie, pożegnał się i odszedł.

Na mocy perskiego przysłowia: „Przychodź rzadko a staniesz się pożądanym" — wszystkie w ogóle panie uważały sobie odwiedziny hrabiego de Lerne za nader pochlebne odznaczenie. Jego nader powabna osobistość, wysokie ukształcenie, dowcip, talenta, a nawet i to że słynął z niezbyt wzorowego życia; wszystko to czyniło go nadzwyczaj zajmującym i pożądanym. To też pani de Maurescamp myślała sobie z przykrością, że pierwsza u niej wizyta nie mogła mu być przyjemną, a nadto zastał pana de Monthélin którego zachowanie się zdawało zdradzać prawie kompromitującą ją zażyłość.

Sama nie wiedząc jak potrafi wytłomaczyć się przed panem de Lerne i rozpocząć rozmowę w tak drażliwym przedmiocie, oczekiwała jednak niecierpliwie następnej środy, w którą spodziewała się zobaczyć go w salonie jego matki. Zawiodło ją oczekiwanie; przybywszy dowiedziała się od hrabiny, że Jakób cierpiąc na mocną migrenę, musiał się położyć. Słusznie czy nie słusznie, dość że widziała w tem objaw lekceważenia lub co najmniej złego humoru odnoszącego się do niej. Szacunek tego młodego człowieka, bynajmniej nie odznaczającego się przykładnem postępowaniem, stał jej się nagle tak niezbędnym, iz nie mogła znieść myśli aby miał długo zostawać pod wpływem tak niekorzystnego dla niej wrażenia. W razie potrzeby nie zbywało jej na stanowczości charakteru; zdobywszy się więc na odwagę rzekła do hrabiny:

— Zdaje mi się, kochana pani, że za pośpiesznie wydałam wyrok przesądzający o możliwości nawrócenia syna pani... Był u mnie onegdaj, a że nie skory do wizyt, myślę że może miał mi co do powiedzenia... odnośnie do swego małżeństwa. Na nieszczęście nie byłam sama... czego mocno żałuję.... szczególniej jeśli miałoby to doprowadzić do celu...

— Ani wątpić o tem, kochane dziecię... Ależ dzięki niebu, da to się łatwo powetować jeźli pozwolisz... Kiedyż mógłbym zastać cię w domu?

— Kiedy mógłby mnie zastać?... powtórzyła Joanna, marszcząc czoło jakby dla głębokiego namysłu.... A no... może jutro po obiedzie.... wieczorem... zamierzam pozostać w domu, żeby odpocząć nieco.

— Powiem mu to, śliczna pieszczotko.... A! gdybyś wiedziała jak cię kocham!..

Nazajutrz, pani de Maurescamp przez cały dzień żałowała bardzo, iż tak odznaczającą grzecznością uprzedzała żądania pana de Lerne; wyrzucało jej to zbyt drażliwe i delikatne sumienie... Jakże będzie upokorzona jeźli nie przyjdzie!... a jeźli przybędzie czyż nie weźmie jej zaproszenia za proste *rendez-vous?*... Gotów pomyśléć że owo namawianie do ożenienia, było tylko upozorowaniem bezczelnej zaczepki.

Nadszedł wieczór. Po obiedzie pan de Maurescamp pobawił się chwilkę z synkiem w saloniku swej żony, poczem, według zwyczaju, wyszedł wypalić cygaro na bulwarach, Joanna usiadła do fortepianu, wygrywając gorączkowo cały szereg mazurków, walców, podczas gdy mały Robertek ubrany w białą sukienkę z niebieskim paskiem, tańcował ze swoją boną różne tańce swego pomysłu. Nagle przestała grać, gdy drzwi się otwarły i stanął w nich służący, zapytując:

— Czy pani hrabina przyjmuje?

— Tak... Któż przyszedł?

— Pan hrabia de Lerne.

— Proś.

Porwała synka na ręce i zaczęła go pieścić i całować, poczem usiadła na fotelu trzymając go w objęciu, jak na obrazach madonny trzymają swoje dzieciątko. Uczyniła to w tej myśli, aby Jakób de Lerne ujrzawszy tak święty obraz życia rodzinnego, zrozumiał, że rzeczywiście idzie tu o coś poważniejszego i godniejszego szacunku, niż może przypuszczał. Zdawało się jednak, iż ani go to

zadziwiło, ani nie wywołało niemiłego zawodu, przeciwnie, zaczął pieścić Robertka, jak gdyby po to jedynie przyszedł. Po niejakim czasie, pani de Maurescamp kazała synka odnieść; czas było rozebrać go i położyć, na cóż miała zatrzymywać go dłużej, skoro okazało się że nie był potrzebnym.

Po odejściu bony z dzieckiem, silny wicher zatrząsł oknami salonu.

— O nieba! zawołała Joanna, czy słyszysz pan?.. to istna burza... zdaje się że i śnieg pada?

— Bardzo duży nawet, odpowiedział pan de Lerne. Jakże miło w czas taki siedzieć w salonie pani, przed tem płonącem ogniskiem.

— A co! czy nie mówiłam że stworzony pan jesteś do życia domowego!... zawołała śmiejąc się Joanna.

— Znowuż wracamy do tego!.. ależ przynajmniej racz mi pani powiedzieć co jej może zależeć na tem żebym się koniecznie ożenił?.... Tak dziwny pomysł nie mógł zrodzić się w umyśle pani... Zdaje mi się, że chyba matka moja musiała go pani poddać?

— Ma się rozumieć.

— A!... więc to matka moja!... Zamyślił się, i rzekł po chwili: — Mocno żałuję, że matce mojej i pani nie mogę zrobić tej przyjemności — ale jak już powiedziałem pani—nie chcę się żenić.

— Ponieważ na całym świecie nie ma ani jednej kobiety któraby pana była godną — wiem już o tem.

— Pozwól mi się pani wytłomaczyć... Wszak wiesz pani, że pod względem religii, osoby nie zachowujące jej przepisów, okazują się najsurowsze, najwięcej wymagające od innych... cokolwiek kto czyni, zawsze to dla nich za mało. Gdybym ja wierzył, powtarzają, zobaczylibyście jakim bym był i jak postępował... słowem byliby uosobioną doskonałością! Otóż ja takim jestem pod względem małżeństwa... Wyrobiłem sobie o niem tak wysokie pojęcie, że nikt nie jest zdolnym go podzielać... i dlatego zmuszony jestem go się wyrzec.

— I jakież to jest to pojęcie, jeźli wolno zapytać? rzekła Joanna z lekkim odcieniem szyderstwa.

— Wyśmiejesz mnie pani jeźli powiem.

— Nie sądzę... sprobuj pan.

— A więc, pani, dla mnie, małżeństwo... to urzeczywistniony ideał miłości... Być może, iż miłość w małżeństwie jest marzeniem, ale marzeniem najpiękniejszem i najrozkoszniejszem, i jeźli ono niekiedy choć w części urzeczywistnione zostaje, chyba nie może być nic milszego, nic wznioślejszego na świecie. Samo jedynie małżeństwo godne jest istotnie nazwy miłości, bo jemu jednemu tylko uświęcenie religijne nadaje jakiś charakter wieczności... I dlatego jestem stanowczo przeciwnikiem rozwodu, który tylu dziś liczy stronników... bo pozbawia on małżeństwo poczucia nieskończoności... Dla dusz pospolitych, dla małżeństw niedobranych, podobne poczucie przykrem być może... ale przypuśćmy dwie istoty które nim stanęły przed ołtarzem — wybrały się wzajemnie idąc za głosem serca, które znają się dobrze i podobają sobie zobopólnie, cenią i szanują.. jednem słowem kochają prawdziwie... ileż to dodaje uroku, jak potęguje szczęście podobnego związku: sama pewność jego nieskończoności!... Dwoje tak kochających się współtowarzyszy, kroczy wspólnie rozkoszną drogą, patrząc z zachwytem że dosięga ona krańców bezgranicznych horyzontów — gdzie niebo styka się z ziemią. Nudzę panią mojemi mrzonkami?

Przecząco poruszyła głową.

— Więc wypowiem całą myśl moją. Nie umiem wyobrazić sobie pełniejszego, szczęśliwszego życia, jak życie dwóch takich wędrowców, dwojga takich kochanków i przyjaciół zarazem. Istnienie ich jest podwojonem, uczucia spotęgowane, radości bezmierniejsze, i same tylko smutki ich maleją... Jeźli, jak przypuszczam, są wysoko ukształceni, ukształcenie to sięga coraz wyższego stopnia rozwoju... jeźli są dobrzy, stają się lepszymi jeszcze, a to skutkiem nieustannej zamiany uczuć i myśli, szlachetnego współzawodnictwa i żądzy zachowania wzajemnego szacunku... Dziś szczególniej, kiedy żyjemy w czasie nieustannych zaburzeń i wstrząśnień, ileż to uroku przedstawiałby podobny związek dwóch wybranych, szlachetnych istot, wspierających i umacniających się wzajemnie, aby wysoko wznieść serca, zachować nieskażony smak i upodobania.. pozostać wiernymi przodkom, pod względem poczucia uczciwości i obowiązków, a dawnym mistrzom pod względem poezyi i sztuki... Uwielbiać wspólnie wiekuiste piękno – pogardzając wszystkiem innem—wznosić się na wyżyny jakby do arki zbawienia, aby tam mówić i rozważać wszystko co tylko może zająć i niepokoić umysł i serce... podzielać swe wierzenia — czy zwątpienia—razem wznosić myśl do Boga—wierzyć w Niego... szukać Go lub płakać... Cóż powiem więcej?.. sama pani widzisz, że to szalone mrzonki!...

Prześliczną była Joanna, zasłuchana w słowa pana de Lerne; pochylona naprzód, wpatrywała się w niego swemi wielkiemi zdumionemi oczami, jak gdyby ukazał jej nagle źródło czystych upajających rozkoszy, i usta jej otwarły się nieco, jakby pragnąc ich zakosztować.

Skończywszy mówić, Jakób spostrzegł iż nieznacznie otarła łezkę spadającą na jej twarz; sam mocno zmieszany, ulegając sympatycznemu pociągowi, prawie nie wiedząc o tem, wyciągnął do niej rękę. Joanna cofnęła swoją, przybierając poważną minę.

— A! przebacz pani, rzekł, sądziłem że jesteśmy przyjaciołmi?...

— Jeszcze nie, wyszeptała.

— Nie ufasz mi pani?... Czyż wyglądam na zalecającego się don Juana?...

— Różni różnie probują dojść do podobnego celu, odrzekła z lekkim uśmiechem.

— Przyznaj pani, że w takim razie obrałbym szczególniejszą drogę.

To powiedziawszy, nieco gorączkowym ruchem zaczął bawić się cackami rozłożonemi na stole.— Wtem zobaczył fotografię małego Roberta, wziął ją w rękę i zaczął wpatrywać się bacznie.

— Wszak synek mój jest ładny? — zapytała Joanna.

— Bardzo ładny. — Dla czego wzięłaś go pani na ręce, w chwili gdy wchodziłem do pokoju?

— Nie wiem... tak... przypadkiem.

— Nie, to nie było bez myśli... Chciałaś mi pani dać do zrozumienia: jeźli przychodzisz jak przyjaciel, przyjmuję cię chętnie... jeźli jako kochanek — oto moja odpowiedź!..

— A więc przyznaję... Czyż nie dobra odpowiedź?

— Najlepsza jaką dać można, odrzekł nieco drżącym głosem; i to mnie tylko dziwi, dodał unosząc się, że kobiety chylące się do upadku nie mogą powstrzymać się na wiodącej do niego drodze, przez samą pamięć i wzgląd na synów swoich. Czyż mogą mniemać, że prędzej czy później, poszepty światowe nie zawiadomią syna o ich płochem czy występnem życiu?... a cóż może szanować na świecie, człowiek, nie mogący szanować własnej matki?.. Wtedy brakuje mu wszystkiego... grunt z pod nóg mu się usuwa... nie ma dla niego świata moralnego... nie wierzy w nic gdy przestał wierzyć w własną matkę.. Życie jego złamane, ogarnia go ogólne zniechęcenie... Ach! gdyby kobiety wiedziały co się dzieje w sercu nieszczęśliwego ich syna, w chwili gdy się dowiaduje... gdy zaczyna podejrzywać że...

Nagle przestał mówić — łkanie głos mu stłumiło. Zrobił ruch człowieka zrozpaczonego że nie mógł zapanować nad swem wzruszeniem, odwrócił głowę i ręką zasłonił oczy.

Jak wszyscy w ogóle tak i Joanna wiedziała co mówiono o więcej niż płochej młodości hrabiny de Lerne — zrozumiała więc boleść syna.

Nastała chwila przykrego milczenia; w parę minut pani de Maurescamp prędko podniosła się z fotelu, postąpiła parę kroków ku Jakóbowi i podała mu rękę.

Wstał: spojrzenia ich spotkały się z sobą; uścisnął silnie podaną sobie rękę, ukłonił się i wyszedł.

Po tak nagłem oddaleniu się jego, pani de Maurescamp przez chwilę stała nieruchoma, jakby przykuta do miejsca; potem niepewnym krokiem przeszła przez salon i rzuciwszy się na kozetkę, zatonęła w głębokiej zadumie. Jedną ręką podtrzymywała śliczną główkę, drugą ocierała łzy zwolna spadające z jej oczu. Co było łez tych powodem? — zmieszana i wzruszona rozmową i niemą zakończającą ją sceną, sama nie umiałaby odpowiedzieć na to.

Wtem nagle z przedpokoju doszedł ją odgłos dzwonka — zmarszczyła brwi; po chwili drzwi się otworzyły, służący wprowadził pana de Monthélin.

— Dowiedziałem się od pana de Maurescamp, że dziś wieczór pani nie wyjeżdżasz z domu, rzekł, i poważyłem się przyjść.

— Bardzo to uprzejmie z pana strony... Siadaj pan i rozgrzej się.

Dość mu było spojrzéć na Joannę, aby poznać, że płakała. Nie pierwszy to raz w życiu dostrzegał podobny symptomat u kobiet opuszczonych przez mężów, i zwykle, nie bez pewnej słuszności, wyprowadzał z tego bardzo pomyślną wróżbę dla swoich zamiarów. Zdarzyło się właśnie wtedy, iż porzucając balet, baron de Maurescamp zawiązał nader głośny stosunek z niejaką Amerykanką, Dianną Grey, woltyżerką, której ukazanie się w Cyrku-Zimowym nader sensacyjne wywarło wrażenie. Od kilku dni przejeżdżała się w lasku nad jeziorem ładnym powozem zaprzężonym w parę przepysznych karych rumaków, których pochodzenie dla nikogo nie było tajemnicą. Pan de Monthélin mógł więc wywnioskować sobie, iż zachodzi pewna styczność między tą okolicznością a smutkiem pani de Maurescamp.

Ośmieszające przezwisko jakie Jakób de Lerne nadał panu de Monthélin, mogło rzucić na niego w mniemaniu czytelnika, jakiś cień śmieszności zupełnie nieusprawiedliwionej. W rzeczywistości był to poważny i nader niebezpieczny uwodziciel. Sława szczęśliwego bałamuta wielkiego dodawała mu uroku w oczach płochych kobiet; wydawało im się zaszczytniejszem być zniesławioną przez niego niż przez kogoś innego. Był bardzo przystojny, odważny i miał nader pańską minę. Jakkolwiek nie odznaczał się nadwyczajną bystrością umysłu, jednak skutkiem nieustannej wprawy i gorącego zamiłowania swego rzemiosła, nabył zastraszającej biegłości w odgadywaniu i chwytaniu każdej sposobności. Wiedział lepiej niż ktokolwiek inny iż w życiu kobiet bywają godziny niemocy i obniżenia moralnej ich wartości, że tak powiem, godziny bezbronności, z których mężczyzna przebiegły i śmiały może strasze wyciągnąć korzyści. To także tłomaczy czem się to dzieje że niekiedy wyższe i odznaczające się

kobiety, stają się łupem najpospolitszych uwodzicieli.

Otoczywszy panią de Maurescamp siecią swej umiejętnie obrachowanej strategii, pan de Monthéiin wyczekiwał oddawna tej fatalnej godziny, z prawdziwie kocią wytrwałością i chytrością. Uznał teraz iż już wybiła. Po kilku minutach konwencyonalnej rozmowy, w której smutna i rozstrojona pani de Maurescamp zaledwie przyjmowała udział, przysunął krzesło do kozetki na której siedziała, mówiąc:

— Zaledwie słuchasz mnie pani, — co pani jest?

— Nic.

— Pani płakała?

— Być może.

—.Czyż nie jestem dość dawnym przyjacielem, aby mi pani powierzyła swoje zmartwienia czy smutki?

— Nie mam żadnych zmartwień ani smutków... Nie wiem co mi jest?

Ujął lekko jej rękę i przybliżając się bliżej wlepił wzrok w jej oczy, mówiąc pół głosem:

— O! moje biedne dziecię! gdybyś wiedziała jak cię kocham!

I chciał objąć jej kibić.

Zerwała się nagle, jakby ze snu zbudzona, i odpychając go szorstko, zawołała:

— Ach! mój biedny panie, gdybyś wiedział jak źle trafiasz!

Tak dźwięk jej głosu jak wyraz twarzy wykazywały dostatecznie, iż jedynem w tej chwili ożywiającem ją uczuciem była najzimniejsza, najnielitościwsza pogarda; pan de Monthélin nie mógł się łudzić, musiał przyznać że tym razem węch jego mu nie dopisał, — nie pozostawało jak tylko cofnąć się z honorem.

— Zdaje mi się, rzekł wyniośle, że hrabia de Lerne tylko co wyszedł... Szuka odwetu... należy to do praw wojny!...

I złożywszy głęboki ukłon, wziął kapelusz i wyszedł.

Zostawszy sama, Joanna po raz pierwszy zdała sobie sprawę z rzeczywistego i niecnego niebezpieczeństwa na jakie narażała się prawie bezwiednie. Uczuła teraz, że kilka dni, może kilka godzin temu — skutkiem zniechęcenia do wszystkiego i zobojętnienia dla siebie samej, nie kochając nawet, a więc bez żadnego wytłomaczenia — byłaby mogła uledz nikczemnym poszeptom rekina salonowego. Uczuła jak blizką była wpadnięcia w tę hańbiącą otchłań, i jak obecnie była od niej daleko. Uniesiona radośnem upojeniem, odrzuciła w tył bujne krucze włosy spadające jej na czoło, i dziękczynnie wznosząc ręce ku niebu, wyszeptała:

— Jestem ocalona!

CZĘŚĆ DRUGA.

VII.

Prawie nie potrzebujemy mówić czytelnikom a szczególniej czytelniczkom, że od owego wieczoru zawiązał się między Joanną de Maurescamp i Jakóbem de Lerne stosunek stałej, coraz ściślejszej przyjaźni. Od owej chwili rozpoczęła się dla Joanny nowa era życia, która wydała jej się zachwycająco uroczą. Odradzała się; odnajdywała rozkoszne złudzenia, wierzenia i pełne uniesienia porywy, ożywiające dawniej jej młodociane lata, czuła że odrosły jej utracone skrzydła. Uczucie łączące ją teraz z panem de Lerne, odpowiadało jej złotym, uroczym młodocianym marzeniom. Dusze ich zetknęły się poniekąd punktami tak czułemi i delikatnemi, iż zostały jakby namagnesowane tem dotknięciem. Wkrótce już nie mogła wątpić że jak ona tak Jakób w tych tylko godzinach żyje rzeczywiście, w których spotykają się z sobą. Przekonywało ją o tem nagłe promieniowanie jego oczu gdy ją tylko zobaczył, głos drżący wzruszeniem, lekki i poważny uścisk dłoni. Widziała iż, o ile tylko było to możebnem bez narażenia jej dobrej sławy, chwyta starannie każdą sposobność zbliżenia się do niej, i zarówno była mu wdzięczną i za chęć widywania jej i za tę delikatność. Nie mogła nie widzieć, iż zmienił nawyknienia i upodobania — aby jej się podobać, a szczególniej aby częściej ją widywać, zaczął bywać w świecie. Jakże szczęśliwą, jak wdzięczną była mu za to, a szczególniej za jego z nią pełne taktu i uszanowania rozmowy i obejście. Nigdy nie prawił jej żadnych grzeczności, nie nadskakiwał, ale otaczał nader pochlebnem odznaczeniem; ilekroć zwracał do niej mowę, starał się nadawać rozmowie podnioślejszą cechę, i tym sposobem nic nie mówiąc dawał jej poznać, iż z nią nie można mówić o rzeczach pospolitych jak zwykle ze wszystkimi, bo jest wyższą nad wszystkich i nad wszystko.

Pewnego dnia dowiedziała się że zerwał swój stosunek z Łucyą Mary, wiadomść ta ucieszyła i zaniepokoiła ją zarazem. Zadawała sobie pytanie czy ta ofiara jaką Jakób prawdopodobnie czynił dla niej, nie zobowiązywała ją za nadto względem niego. Wyrzucała sobie że zajmuje całe jego życie, nie mogąc w zamian w zupełności oddać mu swego. Dla spokoju sumienia, zdobyła się na bohaterskie postanowienie, aby go znowu szczerze i gorąco namawiać do ożenienia. Przypomniała mu że przyjęła na siebie obowiązek wyswatania go, i że przez samą miłość własną powinna wywiązać się z niego.

— Z resztą, dodała, przypominam sobie, iż pewnego wieczora przedstawiłeś mi pan tak budującą teoryę małżeństwa, iż doprawdy wielka byłaby szkoda gdyby tak piękny program choćby jeden raz nie był wykonanym na świecie.

— Czyż nie widzi pani że probuję z nią go urzeczywistnić? odpowiedział.

Zarumieniła się mocno i spojrzała na niego z wyrazem przelęknionej nieśmiałości.

— Spodziewam się, że pani mi ufasz i nie obawiasz się niczego — wszakże sam syna pani postawiłem między nami. Nie mógłbym teraz pomyśléć nawet o tem aby być dla pani czemś więcej jak przyjacielem, bez poniżenia się i wystawienia na śmieszność, tak w oczach pani, jak i w moich własnych... Zakrawałoby to na wstrętną hipokryzyę... pojmuje pani że jest to niemożebnem.

— Dzięki niebu! odrzekła; ale obawiam się bardzo czy i to nie jest niemożebnem aby przyjaźń mogła wystarczyć i zapełnić całe życie mężczyzny... Zagarniając na swoją wyłączną korzyść serce i całą przyszłość pana, dopuszczam się bezmiernego samolubstwa.

— Nie rozczulaj się pani nademną odrzekł wesoło, bo upewniam ją że wcale nie jestem pożałowania godnym... Mam trochę mistyczne usposobienie; w dawnych czasach, byłbym pewnie jednym z tych którzy przebywszy pewne burze młodości, zamykali się w pustelniach lub w celach klasztornych.. a tam pewnie nie mieli takiej osłody jak przyjaźń pani... Mówię to zupełnie szczerze, pani jesteś moją ucieczką i zbawieniem... Dziś materyalizm tak wszechwładnie się rozwielmożnił, że i ja nie uniknąłem jego wpływu — ale mam go już aż nadto, obecnie wstręt już tylko budzi we mnie... Uczułem że coraz głębiej pogrążam się w kale... i otrząsnąłem się z niego. Teraz jestem spragniony wzniosłego a nawet surowego ideału, i znalazłem go w uczuciu jakie mam dla pani.. zapewne jest ono miłością ale jest i religią... Bądź więc pani spokojna a nadewszystko bądź szczęśliwa... kochaj mnie trochę — kochaj jak brata i nie mówmy już o tem... Przeczytam pani parę stronnic ulubionego naszego Tennyson'a, najczyściejszego z poetów.

Pewnego wieczora, w kilka miesięcy później, ona znowu starała się go uspokoić. Nazajutrz miała wyjechać do Dieppe, aby tam spędzić kilka tygodni z matką i z synem. Pan de Lerne przyszedł z nią się pożegnać. Jakkolwiek rozłączenie nie miało trwać długo, Joanna czuła się jednak żywo wzruszoną i rozstrojoną; obawiając się okazać zbytnie rozczulenie, przedstawiała się znów za nadto zimną i obojętną. Zadziwiony jej sztywnem, jakby nieco szyderskiem obejściem, pan de Lerne milczał zaniepokojony. Niezadługo wstał aby się pożegnać i odejść; podając mu rękę, Joanna wyczytała w jego oczach szczególniejszy wyraz niedowierzania i niepokoju.

— Założyłabym się, rzekła, że odgaduję myśl pana.

— Powiedz pani.

— Zadajesz pan sobie pytanie czy i ja także jak owa pani nie jestem niegodna tak wzniosłego, anielskiego uczucia.

— Nie pani, myslę tylko czy jak szaleni nie łudzimy się oboje niemożebnemi mrzonkami.

— Ach! nie mów pan tak, zawołała, — nie myślisz tego... A! gdybyś wiedział jak jestem wdzięczną!... jak wiele winną ci jestem.... Posłuchaj, przyjacielu, chcę zrobić ci wyznanie które zadziwi cię może.... ale nie chcę nic ukrywać przed tobą... gdyby nie ty... byłabym może zgubioną... tobie zawdzięczam że co najmniej uniknęłam upadku moralnego... Pojmujesz teraz że nie mam najmniejszej ochoty zstąpić wraz z tobą na tę poniżającą drogę... A! przyjacielu mój! spadlibyśmy z tak wysoka... stalibyśmy się stokroć winniejszymi od innych... nieprawdaż że byłaby to bezmierna nikczemność?... Pozostańmy przyjaciołmi jak dotąd... będę cię kochać i szanować, błogosławić z głębi serca... a teraz bywaj zdrów, przyjacielu.... Pisuj do mnie.

I tak w chwilach słabości wzajemnie dodawali sobie odwagi.

Pragnąc nadać łączącemu ich stosunkowi coraz poważniejszy i wznioślejszy charakter, Joanna prosiła aby jej nakreślił plan nauk i wybrał odpowiednie książki — dla tego, jak mówiła, aby nie nudził się zbytecznie w jej towarzystwie. Przez czas jej nieobecności pan de Lerne urządził jej więc bibliotekę, w której najgłówniejsze miejsce zajmowali pisarze z XVII wieku, oraz dzieła tegoczesnych krytyków i liczny wybór pamiętników historycznych. I to było przedmiotem ich korespondencyi przez czas pobytu Joanny w Dieppe.

Po powrocie, Joanna z zapałem zabrała się do czytania, i odtąd wywiązał się miedzy nimi stosunek jakby uczennicy do nauczyciela, i pan de Lerne będący wszechstronnie i głęboko ukształconym, stał się dla niej nadzwyczaj cennym przewodnikiem i komentatorem. Od tej chwili wspólne ich zamiłowanie w poważnych dziełach i w utworach ulubionych poetów, ich poglądy i rozprawy o wypadkach dziejowych, utrwaliły jeszcze i dodały powabu łączącej ich przyjaźni.

VIII.

Podobnie wzniosła przyjaźń mająca być pewnem wynagrodzeniem źle dobranego związku, bywa marzeniem wielu i to często najlepszych nawet kobiet, zawsze jednak należy jej unikać, gdyż aby mogła utrzymać się na tej wysokości, wymaga z obu stron nader silnych i wybranych charakterów, a może tak wyjątkowych okoliczności jak te które zbliżyły do siebie panią de Maurescamp i pana de Lerne. Jednakże tak wzniosłe i bohaterskie uczucia nie są bezprzykładne w świecie — choć tenże nie bardzo temu wierzy.

Świat nie lubi niczego co przechodzi zwykłą jego pospolitą miarę — a potem te niewinne uczucia, łatwo dać mogą powód do potwarzy, ponieważ nie poczuwając się do winy, nie ukrywają się i nie wystrzegają. I tym razem, zepsuty i sceptyczny świat w którym żyli, po swojemu osądził przyjazny stosunek łączący Joannę i Jakóba. A nikt nie był mniej zdolnym pojąć podobnych odcieni, jak baron de Maurescamp. Choć z natury i przez próżność był bardzo zazdrośny, nie był nim jednak nigdy względem niby przyjaciela swego, pana de Monthélin, który przecież rozmyślnie wszelkich używał środków aby żonę jego przywieść do upadku; ale za to, ze zwykłą podobnym sobie nietrafnością, szczególniejszą zwracał uwagę na czysto braterski stosunek żony jego z hrabią de Lerne. Nienawidził Jakóba dla tego iż pod każdym względem wyższym był od niego. Dawniej, kiedy tenże bywał jeszcze w tak zwanym pół-światku, pan de Maurescamp znajdował w nim często szczęśliwego współzawodnika, więc choć nie dbał o żonę, nie mógł przecież znieść myśli aby i ona oddawała mu pierwszeństwo. Joanna spostrzegała nie jednokrotnie zły humor męża na widok pana de Lerne, i w tem zbłądziła, iż nie mając sobie nic do zarzucenia, nie uważała za potrzebne stosować się do jego nieuzasadnionych wymagań. Jednakowoż podczas pobytu w Dieppe, starała się nastręczać mu sposobność czytania wszystkich listów odbieranych od Jakóba, aby uspokoić go wykazaniem ich czysto przyjacielskiej treści. Nie dość na tem, często pod różnemi pozorami zatrzymywała go w salonie podczas bytności Jakóba, aby ich widywaniu się odjąć wszelką cechę tajemniczości; ale wszystkie te względy i ostrożności nie odnosiły bynajmniej zamierzonego celu. Pan de Maurescamp nie znajdował najmniejszej przyjemności w ich towarzystwie, czuł sam że się do niego nie nadawał, drażniła go podrzędna rola jaką w niem odgrywał; to też wzruszał tylko ramionami, uśmiechał się szydersko, i nareszcie wypowiedziawszy kilka trywialnie złośliwych konceptów, odchodził zostawiając ich samych. Jednakże prawda ma w sobie tak przekonywającą siłę, iż nareszcie zaczynał wierzyć że łączy ich tylko stosunek intellektualnosentymentalny, co nie przeszkadzało iż żywił w sercu głuchą i gwałtowną nienawiść, mającą wybuchnąć przy najpierwszej sposobności.

Na nieszczęście nie dała ona długo na siebie czekać.

Jak to już powiedzieliśmy, pan de Maurescamp był od roku bardzo zakochany w Diannie Grey, młodej amerykance, woltyżerce bardzo wtedy będącej w modzie w Paryżu. Była to córka bardzo podrzędnego akrobaty, zrodzona i wychowana w kale, ale nadzwyczaj piękna. Przytem z pozoru nic w niej nie zdradzało tak nizkiego pochodzenia i strasznego zepsucia. Biała, wysmukła, odznaczała się niezwykłą doskonałością jakby utoczonych kształtów i nader wykwintnemi ruchami, a przytem bez serca, wyrachowana do dzikości, przebiegła i nie przebierająca w środkach, umiała zapanować nad nim wszechwładnie, pomimo iż obchodziła się z nim jak najgorzej i dokuczała najdziwaczniejszemi kaprysami. Podobne kobiety łatwo zawojują takich panów de Maurescamp; wszelkie jej zachcianki dla niego stawały się prawem. Za wyrzeczenie się artystycznego swego zawodu, kazała kupić sobie piękny pałacyk w alei lasku Bulońskiego, umeblować odpowiednio i zapewnić wygodne utrzymanie. Woli jej stało się zadość.

W pierwszych dniach 1877 r. zachciało się exwoltyżerce cyrkowej obchodzić uroczyście objęcie swego pałacyku, i w tym celu postanowiła wydać proszone śniadanie. Sama ułożyła listę zaproszeń, i z wielkiem niezadowolnieniem pana de Maurescamp, zamieściła na niej nazwisko hrabiego de Lerne, którego prawie nie znała ale wiele słyszała o nim, gdyż choć zaprzestał bywać w jej świecie, pozostawił jednak bardzo pochlebne o sobie wspomnienie.

Jak powiedzieliśmy, Jakób stanowczo zerwał wszelkie stosunki z towarzystwem którego Dianna Grey była pierwszorzędną gwiazdą, jednak obawiając się (najzupełniej bezzasadnie) aby pan de Maurescamp nie brał mu za złe odmowy, przyjął zaproszenie. Gdy siadano do stołu, Dianna posadziła go obok siebie z prawej strony, i od pierwszej chwili, ze szczególniejszem odznaczeniem nim się zajmowała. Wiedziała że Jakób doskonale mówi po angielsku, więc jakby na przekor ciągle mówiła do niego w tym języku, którego pan de Maurescamp nie znał zupełnie. O ile tylko grzeczność dozwalała, Jakób nadzwyczaj zimno przyjmował przesadną uprzejmość sąsiadki i próbował mówić po francuzku; ale Dianna gniewała się i rozmawiała ciągle po angielsku, pijąc zdrowie pana de Lerne już to szklankami porteru angielskiego, już kieliszkami porto, rzucając jednocześnie pogardliwie wyzywające spojrzenia panu de Maurescamp, siedzącemu naprzeciw niej z widocznie niezadowolnioną miną. Tego rodzaju kobiety jak Dianna Grey, doznają nie raz dzikiej jakiejś rozkoszy poniżając tych co przyczyniają się do ich hańby.

Śniadanie przeszło nie wesoło; sama tylko gospodyni zdawała się bawić wybornie. Gdy tylko wstano od stołu, Jakób pragnąc jak najśpieszniej uwolnić się od niemiłego towarzystwa, pożegnał się i odszedł, wymawiając się jakimś nader pilnym interesem.

Po jego odejściu, Dianna, już nie trzeźwa, rzuciła się na kozetkę, zapaliła cygaro i widząc niezadowolnienie pana de Maurescamp, chciała dokuczyć mu jeszcze więcej:

— Wiesz co, baronie, rzekła głośno, że to bardzo miły człowiek ten kochanek twojej żony — bardzo a bardzo mi się podobał.

— Nie trzeźwa jesteś, Dianno, zawołał mocno zaczerwieniwszy się, i zapominasz o kim mówisz.

— Bynajmniej — mówię o twojej żonie — i dlaczegóż nie miałabym mówić kiedy sam tyle razy mówiłeś mi o niej?

Dodała kilka jeszcze niesmacznych dowcipów, poczem najobojętniej puszczała kłęby dymu ze swego cygara.

— Jest zupełnie nie trzeźwa, rzekł jeden z gości do pana de Maurescamp, niepodobna zważać na jej paplaninę... Szkoda że ma tę szkaradną wadę....

W parę godzin po rozejściu się gości, Dianna sama przyznała panu de Maurescamp iż rzeczywiście porter i wino zupełnie zawróciło jej w głowie, i z tego powodu sama nie wiedziała co mówi, nie powinien więc do słów jej żadnej przywiązywać wagi. Jej przebaczył z łatwością, ale postanawiając w zamian zemścić się na żonie.

Jak się to dzieje w podobnie źle dobranych małżeństwach, przestawszy kochać, stopniowo prawie znienawidził żonę, a niecna potwarz publicznie rzucona przez Diannę, rozbudziła najgorsze jego instynkta. Ani pomyślał o tem jak nikczemnem było narażać spokój i honor żony dla nieuzasadnionego oszczerstwa podobnej kobiety, i ulegając dawno miotającej nim złości, zazdrości i nienawiści, postanowił zemścić nię nareszcie i przeciąć wszelkie stosunki żony z Jakóbem de Lerne.

Osądził że właśnie doskonała ku temu nastręcza mu się sposobność: owo śniadanie posłuży za pozór wyzwania Jakóba na pojedynek, pozór zapewniający tę podwójną korzyść: że nazwisko pani de Maurescamp nie zostanie wymienionem, a zarazem jemu służyć będzie prawo wyboru broni. W pojedynku na szpady z góry pewny był swej przewagi, gdyż doskonałym był fechmistrzem — nie chciał więc zrzekać się tej korzyści.

IX.

Wyszedłszy od Dianny, udał się wprost do swego klubu, gdzie zastał kilku z gości którzy byli na owem śniadaniu, a mianowicie panów: de Monthélin i d'Hermany, i zaraz udał się z nimi do oddzielnego gabinetu. Tam zwierzył im się że uważa sobie za obrazę tak niestosowne zachowanie się pana de Lerne z Dianną Grey, albowiem rażąca przesada z jaką rozmawiał z nią ciągle po angielsku, choć wie dobrze, iż on zupełnie nie zna tego języka, jest po prostu wyzywającą impertynencyą. Panowie de Monthélin i d'Hermany byli ludźmi za nadto znającymi świat i jego formułki, aby mieli powstawać przeciw wyzwaniu z tak błahych wynikającemu powodów — rozumieli dobrze iż jest to tylko pozór osłaniający ważniejszą, ukrywaną przyczynę. Pan de Maurescamp dodał jeszcze, iż zgodnie z jego z zasadami i systemem pragnie sprawę tę zakończyć jak najprędzej, zanim ktokolwiek dowie się o tem, a to, aby nie dopuścić jakiejś zawsze niemiłej interwencyi kobiet. Prosił więc tych panów aby raczyli natychmiatt udać się do pana de Lerne, dla spełnienia posłannictwa jakie wkładał na nich w imię przyjaźni.

Pan de Monthélin oznajmił wtedy, iż musi odmówić, z powodu, iż sam miał pojedynek z panem de Lerne — nie wypada mu więc być sekundantem w innym jego pojedynku. Pan de Maurescamp przyznał mu słuszność i zwrócił się do innego ze swoich przyjaciół, niejakiego pana de la Jardye, członka tegoż klubu, którego pan d'Hermany przyprowadził z przyległego pokoju. Pan ten chętnie korzystał z każdej okoliczności, dozwalającej mu jakąś ważną niby odgrywać rolę. Dla formy wspomniał coś o pojednaniu, ale i on także był na owem śniadaniu, skoro więc, jak mówił, żądają aby szczerze powiedział co myśli, musi przyznać, iż działy się tam rzeczy nieco trudne do strawienia dla przyjaciela jego, barona de Maurescamp, i dla tego nie może mu odmówić żądanej przysługi i chętnie zostanie jego sekundantem.

Pan de Lerne ani się spodziewał co go spotkać miało. Odbył zwykłą przejażdżkę do lasku i powrócił do domu o szóstej. Z niemałem zadziwieniem zastał bilety wizytowe pp. de la Jardye i d'Hermany, w zapieczętowanej kopercie, a na nich napisane ołówkiem:

„Przyszliśmy z polecenia i w osobistym interesie pana de Maurescamp, będziem mieli zaszczyt powrócić o w pół do siódmej." *(D. c. n.)*



Pl. 466.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.